Nr. 8 (445). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 18 lutego 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X.

ŚWIATOWID

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY NARCIARSKIE W INNSBRUCKU.



Odbyły się w ubiegłym tygodniu i zgromadziły elitę narciarstwa na starcie. Niestety fatalne warunki atmosferyczne i gwałtowna odwilż utrudniły w wysokim stopniu rozegranie zawodów. Na zdjęciu wynoszenie do punktu sanitarnego śmiertelnie zmęczonego trudną trasą zawodnika, który zemdlał na mecie. Keystone — Berlin.

ECHA TYGODNIA.

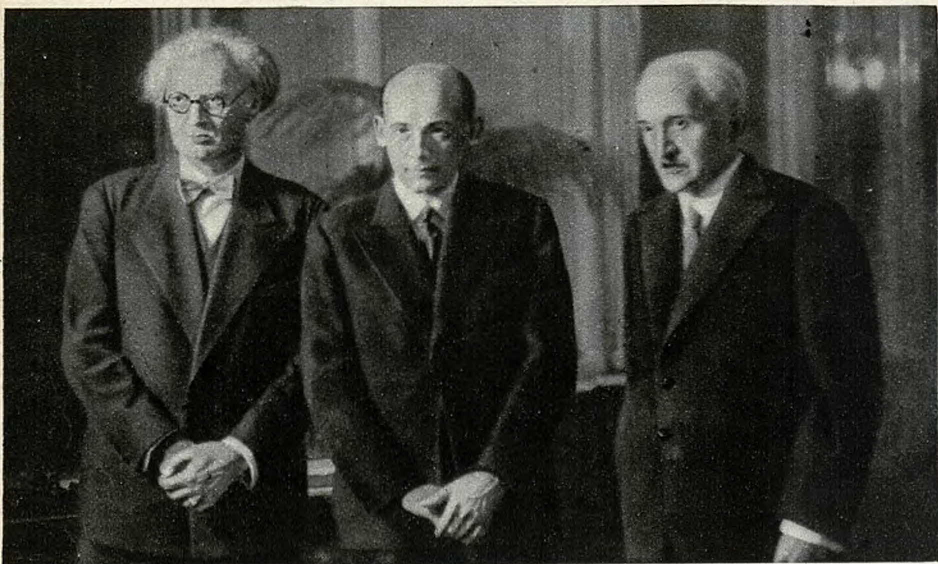


Z ŻYCIA TURYSTYCZNEGO NA KASZUBACH. W Borkowie Kartuskim, w sercu Szwajcarji kaszubskiej, otwarto schronisko turystyczne, wybudowane z inicjatywy dowódcy O. K. VIII gen. Pasławskiego. Na zdjęciu komitet budowy z gen. Pasławskim, starostą Czarnockim i inż. Gruetzmacherem.



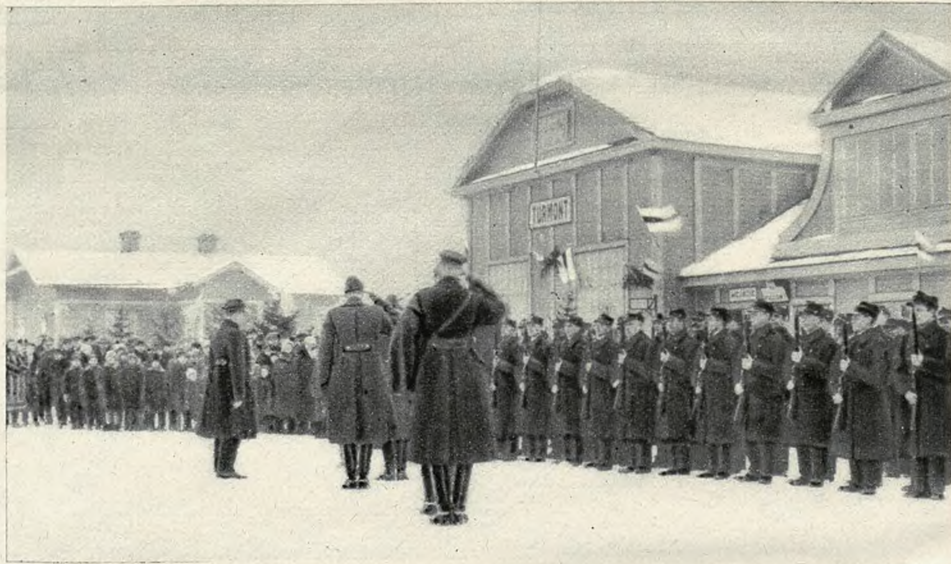
Z POBYTU PREZYDENTA RZPLITEJ W ZAKOPANEM. Od kilku dni przebywa w Zakopanem p. Prezydent Rzplitej. Korzystając z tej okazji, górale ze wsi Kościelisk złożyli p. Prezydentowi hołd, wręczając Mu pod przewodnictwem ks. proboszcza Humpali chleb i sól (na zdjęciu).

Fot. Z. Buchcar — Zakopane.



LAUREACI SZTUKI. Dnia 12 bm. p. minister Jędrzejewicz (w pośrodku) wręczył państwową nagrodę literacką p. Wacławowi Berentowi, a nagrodę muzyczną p. Eugenjuszowi Morawskiemu, rektorowi Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie (po lewej).

Ag. fot. „Światowid".



NA FRONCIE ZBLIŻENIA POLSKO-ESTOŃSKIEGO. Powracająca z Polski delegację estońskiego Przysposobienia Wojskowego, powitał na granicznej stacji w Turmont (woj. wileńskie) oddział kolejowego Przysposobienia Wojskowego, z prezesem Kobusem na czele, którego płk. Maide udekorował złotą odznaką estońskiego Kaitselitu. Na zdjęciu płk. Miade przyjmujący raport na stacji w Turmont.



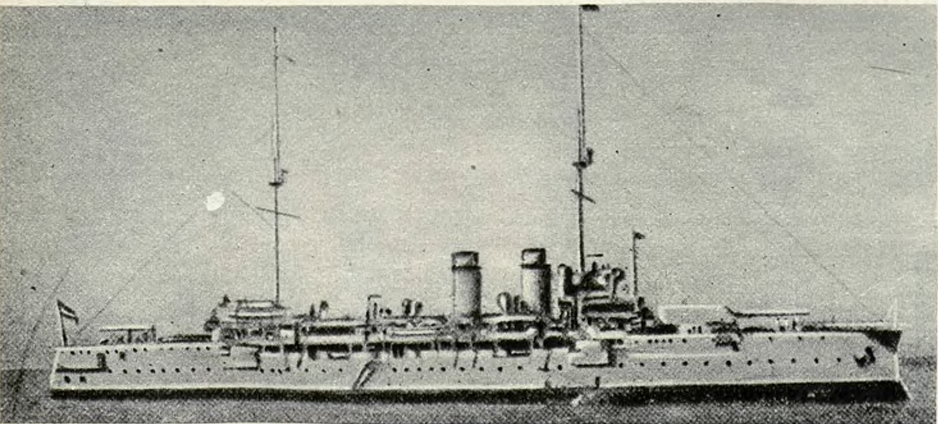
Z KARNAWAŁU SĄDECKIEGO. W Nowym Sączu (woj. krakowskie), odbyła się tradycyjna maskarada, urządzona staraniem Związku Kolejarzy, w której wzięło udział blisko 1.500 osób. Bawiono się ochoczo do samego rana. Na zdjęciu grupa uczestników zabawy, po zdjęciu masek.



POŻEGNANIE PREZYDENTA BELINY. Dnia 12 b. m. Kraków żegnał swego prezydenta płk. Władysława Belinę-Prażmowskiego, który został powołany na nowe odpowiedzialne stanowisko wojewody lwowskiego. Na zdjęciu p. wojewoda Belina-Prażmowski (w pośrodku), ze swą małżonką, w otoczeniu członków Rady miejskiej, obywatelstwa i funkcjonarjuszy Magistratu.

Ag. fot. „Światowid".





BUNT PANCERNIKA. Stojący w Indjach holenderskich pancernik „De Zeven Provincien", którego załogę stanowili Malajczycy, zbuntował się i wypłynął na pełne morze. Po kilku jednak dniach musiał się poddać, osaczony przez inne pancerniki i zbombardowany przez lotników. Krwawy ten epizod świadczy, że w Indjach holenderskich zaczyna się budzić ruch separatystyczny i rewolucyjny, zagrażający panowaniu holenderskiemu.

SUKCESY POLSKIEGO ŚPIEWAKA W BIAŁOGRODZIE. Królewska opera w Białogrodzie wznowiła w ubiegłym tygodniu niegraną od lat kilku operę Czajkowskiego „Dámę pikową". W popisowej partji Hermana, wymagającej od śpiewaka nietylko wybitnego głosu, ale także talentu aktorskiego, wystąpił po raz pierwszy znakomity polski tenor Stanisław Drabik (na zdjęciu), zdobywając ogromny sukces artystyczny.

RAKIETY POLSKIE W WALCE Z KRÓLEM.



Na meczu A. I. K. — Legja najpilniejszym widzem był król Gustaw, którego widzimy na zdjęciu w loży honorowej, wraz z księżniczką Sybillą.

Sztokholm, w lutym.

Wiele już mieli doniosłych spotkań nasi tenisiści. Grali na Riwierze, walczyli w stolicy świata w Paryżu — widział ich Wimbledon, ta Mekka tenisu światowego, stolica Niemiec była widownią ich sukcesów, lecz występ w Sztokholmie był czemś zupełnie odmiennem. Po pierwsze, spotkanie to odbyło się w krytej hali. Już to samo stanowiło wielką nowość dla naszych „rakiet“. Co innego jest grać na świeżem powietrzu na podłożu „en tout cas“, a co innego pod dachem na drewnianej posadzce. Dotychczas nasi tenisiści trenowali nieco, lecz publicznych występów nie było. Z prostej przyczyny: nie mieliśmy hali.

Ale w Sztokholmie zdarzyło się jeszcze coś innego — oto partnerem najlepszych polskich rakiet, a to panny Jędrzejowskiej z Krakowa, Tłoczyńskiego z Warszawy i Wittmanna z Katowic, miał być sam król Gustaw.

Ktokolwiek interesuje się tenisem, temu postać, daleko już posuniętego w lata, króla Szwecji nie jest obcą. Za młodych lat był on znanym tenisistą, a dziś jeszcze mimo siódmego krzyżyka, niejednemu jeszcze młodemu może pokaazć, jak się gra w tenisa.

Przed takim „królewskim“ meczem można mieć tremę. Gra taka przecież nie jest łatwą. Przegrać — źle, bo powiedzą, że gracz, który przegrywa z 70-letnim graczem, to niedołęga. Wygrać? Kto wie, czy nie jeszcze gorzej, bo król może się obrazić i powód do wojny gotowy. W tem wszystkiem jedno upraszcza sytuację. Król Gustaw jest sportowcem w każdym calu. A więc umie wygrać, ale też umie przegrać. Zresztą na korcie nie jest on królem. Nazywa się poprostu „mister G.“

Pierwsze spotkanie, rozegrane w sztokholmskim krytym stadjonie tenisowym, zebrało na starcie króla Gustawa, który dobrał sobie do pary najlepszego gracza szwedzkiego Oestberga, oraz Tłoczyńskiego i Wittmanna. Pierwszy set wygrał król ze swym partnerem 7:5. Nasi czuli się jeszcze nieco obco na posadzce, a przytem ten król!... W drugim secie poszło jednak lepiej. Polacy wygrali 6:3. Na tem grę zakończono. No i czy nie jest to sposób najlepszy? Niema zwyciezcy, ale i niema pokonanego. Wszyscy są zadowoleni.

W drugiem spotkaniu Tłoczyński dostąpił zaszczytu być partnerem króla. Dziwna to para. Król Gustw wysoki, chudy starzec, a przy nim Tłoczyński, małego wzrostu, młody chłopiec. Przeciw nim grali Jędrzejowska i Wittmann. Niedobrana, zdawałoby się para, król Gustaw i Tłoczyński, okazali się lepsi od koalicji krakowsko-śląskiej. Jedyny set przypadł w udziale królowi 6:3.

Czyż trzeba dodawać, że gdy gra król, to na widowni zbiera się niemal cały korpus dyplomatyczny, elita towarzyska i tłumy widzów? W obecnych czasach, gdy królów jest tak mało, a królów grających w tenisa jeszcze mniej, widok taki należy do rzadko spotykanych sensacyj, a przyglądnięcie się takim królewskim meczom należy wprost do obowiązku towarzyskiego w Sztokholmie.

Tak więc zdobyliśmy króla szwedzkiego dla Polski. To jasne, że teraz król Gustaw będzie się zaliczał do najserdeczniejszych przyjaciół Polaków i Polski. Grał przecież z nami w tenisa. Książki propagandowej o Polsce prawdopodobnie nie wziąłby nigdy do ręki, ale i tak dowiedział się tyle rzeczy o Polsce! Zobaczył ją przecież z najlepszej strony, gdyż nasi potrafili wygrywać. Okazało się to w meczu tenisowym między klubem sztokholmskim A. I. K., a zespołem Legji warszawskiej, który mimo niedoświadczenia Polaków, odnośnie do gry na krytej hali, zakończył się remisowo 4:4, przyczem dwa punkty zdobyła Jędrzejowska, jeden para Tłoczyński i Jędrzejowska, a jeden sam Tłoczyński.

Polubiono naszych tenisistów bardzo w stolicy Szwecji. Jasnem jest, że ich występ w siedzibie króla Gustawa nie był ostatnim. Już po meczach Szwedzi wspominali, że przy najbliższej okazji znowu ściągną nasze rakiety do Sztokholmu. Zyskaliśmy więc nowych przyjaciół. Trzeba dolać, że mecz tenisowy trwał trzy dni, a przez cały czas spotkań najpilniejszym bodaj widzem był król Gustaw, który wraz z wnukiem swym i jego żoną, bacznie obserwował grę swych poddanych z Polakami.

W. D.



Tenisiści polscy wraz z królem Gustawem na hali stockholmskiej. Stoją od lewej: król Gustaw, zawsze uśmiechnięta Jędrzejowska, Tłoczyński i Wittmann po rozegraniu meczu.

NA SCENIE POD GIEWONTEM.

Do najpopularniejszych polskich mistrzów tańca należą małżonkowie Neyowie.

Ona ma na imię Ina a on Jerzy. Młodzi, piękni i świetnie zbudowani, wzbudzają entuzjazm swojemi produkcjami na scenach Warszawy, Krakowa czy Zakopanego.

Ina zaczęła pierwsze kroki, jako tancerka, stawiać w operze warszawskiej, razem z Nobisówną, Żelichowską i tragicznie zmarłą Izą Korczyńską. Potem zaangażowała się do „Nowości" i tam poznała swojego przyszłego męża.

Pomimo młodocianego wieku p. Ina ma już za sobą 12 lat żmudnej pracy artystycznej.

Bo praca to rzeczywiście żmudna, ciężka i ofiarna. Aby bowiem utrzymać się w formie, trzeba nieustannie ćwiczyć, gimnastykować się i prowadzić specjalny tryb życia.

Praca ta zajmuje czasem cały dzień.

Obecnie państwo Neyowie przebywają w Zakopanem.

Naturalnie nie próżnują, ćwiczą, przygotowują nowy program...

Jak zawsze oszałamiający.

Znowu więc w silnych ramionach swego partnera ukaże się filigranowa figurynka pani Iny, aby gibkiemi ruchami swego młodego ciała wygrać nowy poemat o miłości i wiośnie.

A tymczasem patrzy roześmiana na Giewont, na Gubałówkę wesołemi „oczyma duszy" i widzi dalsze swe i swego partnera sukcesy taneczne...

Sz.



Małżonkowie Ney, ćwiczący na śniegu w Zakopanem.

Urocza tancerka warszawska Ina Ney, w niesłychanie trudnej pozie tanecznej.



Subtelna główka Iny Ney.

SZKOŁA DLA NARZECZONYCH.

Pani Lina Lejane wpadła na doskonały pomysł. Założyła bowiem szkołę dla narzeczonych w Eisenach w Turyngji. Celem tej szkoły jest przygotowanie przyszłych narzeczonych i żon do ich ciężkich obowiązków. Program szkolny obejmuje nietylko zajęcia gospodarcze, ale także studja psychologiczne. Jak doświadczenie bowiem uczy nie każde narzeczeństwo prowadzi do ołtarza. Wiele par rozchodzi się, dlatego, że narzeczona niejednokrotnie nie umie swojego męża przyszłego zatrzymać przy sobie i zraża go różnemi drobnostkami.

Jakże rzadko także spotyka się dzisiaj szczęśliwe małżeństwa. Dzieje się to dlatego, ponieważ kobiety wychodzą za mąż, nie mając wyobrażenia o swoich przyszłych obowiązkach; uważając, że znajomość kuchni, prowadzenia gospodarstwa i trzymania sie budżetu jest przesądem z dawnych czasów.

To wszystko mając na uwadze p. Lejane stara sie, aby w swej szkole zaszczepić przyszłym żonom zamiłowanie do porządku i nauczyć je, jak zapomocą drobnostek przywiązać do siebie męża.

Kiedy poszczególne adeptki przejdą już kurs wstępny, wtedy uczy się je, jak należy się ubrać do ślubu i jak zachowywać się w tym dniu uroczystym. Młode dziewczęta, ubrane w welon ślubny, kroczą więc po dywanie, starając się przytem zachować powagę i swobodę. Na twarzy ich w myśl surowych instrukcyj nauczycielek, winien malować się uśmiech szczęścia.

Naturalnie dyskretnie! Narzeczonej bowiem nie wolno ani na chwilę zapominać, że reprezentuje ona także pewne wartości (urodę, posag, rozum?!) które w posagu przyniesie swojemu mężowi, odwdzięczając się w ten sposób z lichwą (?) za jego uczucia.

Szkoła p. Lejane ma powodzenie. Może bowiem szaleć na świecie kryzys, może wszystko odwrócić się do góry nogami, mogą zmienić się gusta i mody, jedno jednak nie zmieni się. Jest niem mianowicie pragnienie każdej kobiety, wyjścia możliwie szybko i dobrze za mąż.



Lekcja czyszczenia ubrania męskiego w szkole dla narzeczonych w Eisenach w Turyngji. „Nie należy, mówi instruktorka, czyścić pod włos, za długo, względnie za krótko. Niecierpliwi to bowiem męża i wprawia go w zły humor".



Idąc do ślubu, powinna panna młoda uśmiechac się z godnością i mieć wyraz twarzy w miarę skupiony i w miarę wesoły.

The New York Times.

W Paryżu otwarto w Bibljo... Wyspiańskiego. Na zdjęciu pastel ... na studjach (...



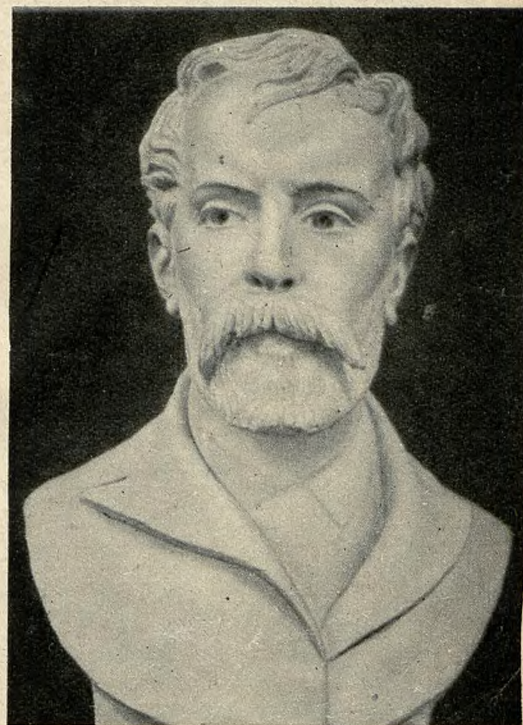
Osiem nieznanych obrazów Wyspiańskiego z wystawy paryskiej.

Kolonja polska w Paryżu, idąc za krajem, uczciła także pamięć Stanisława Wyspiańskiego. Bibljoteka Polska urządziła uroczystą Akademję pod przewodnictwem p. Ambasadora Alfreda Chłapowskiego, w czasie której krótkie, ale wnikliwe przemówienia wygłosili pp. Jan Lechoń i Z. L. Zaleski.

Po Akademji odbył się wernisaż wystawy, zorganizowanej przez kustosza Bibljoteki p. dra Czesława Chowańca. Wystawa obejmowała kilka działów, z których najciekawszemi były te, które przedstawiały stosunek Wyspiańskiego do Francji, oraz naczenie poety w typografji polskiej.

Największą uwagę zwracało jednak osiem oryginalnych obrazów Wyspiańskiego, pochodzących z kolekcji p. E. Krakowskiego, które dotychczas nieznane były polskim badaczom. Są to przeważnie pastele, pochodzące z lat 1891—1893, czyli z okresu pobytu Wyspiańskiego w Paryżu. Wpływ nadsekwańskiej stolicy i pulsującego w niej życia artystycznego zrobił duże wrażenie na młodym Wyspiańskim. Reminiscencje tego znajdujemy w tych obrazach, które są niezwykle ciekawe, jako charakterystyczny dokument jego upodobań malarskich. Obrazy te są dalekie od stylu cechującego wszystkie płótna artysty. Trudno w nich dopatrzyć się tego lwiego pazura, cechującego jego późniejsze dzieła. Te młodociane obrazy Stanisława Wyspiańskiego nie figurują w spisie dzieł malarskich, znajdującym się w klasycznem wydaniu Bibljoteki Polskiej. Byłoby wskazanem, by polscy historycy sztuki, których interesuje twórczość plastyczna autora „Wesela", zaznajomili się bliżej z temi odnalezionemi na paryskim bruku obrazami.

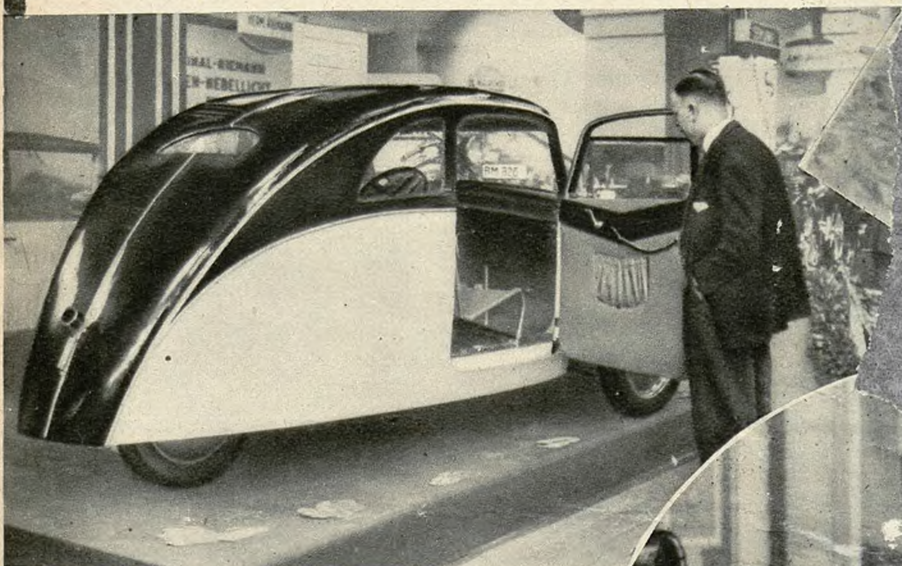
J. B.



Stanisław Wyspiański: Popiersie Franciszka Blacka.

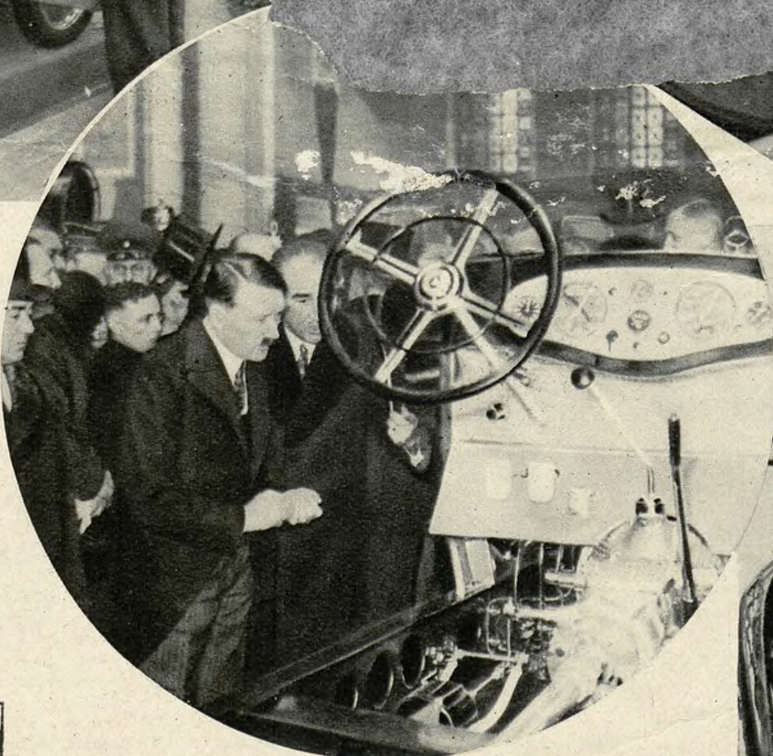


W tych dniach nastąpiło w Berlinie otwarcie wystawy automobilowej i motocyklowej.

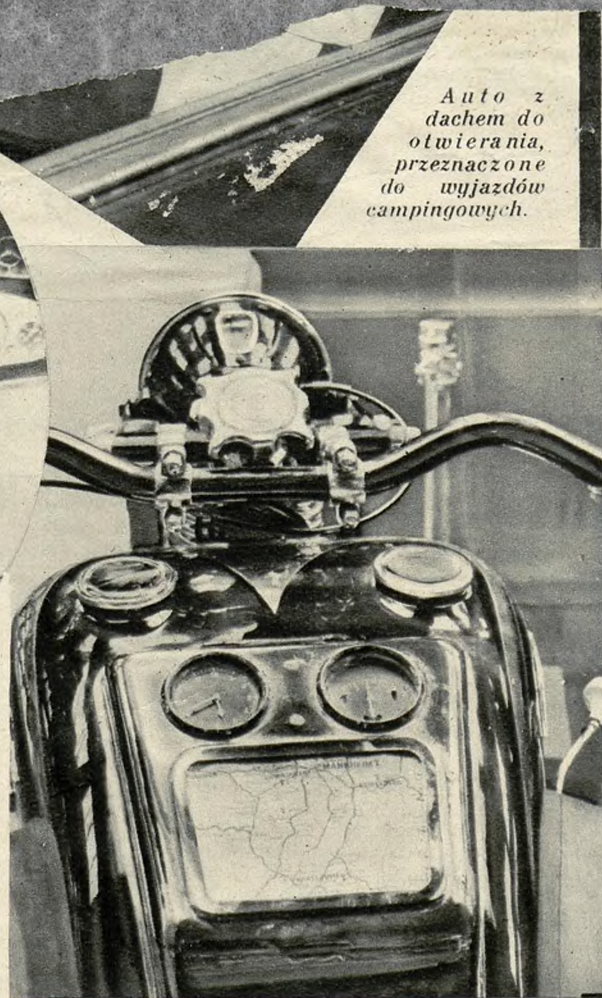


Trójkołowiec w formie limuzyny. Kosztuje Mk. 820'—. Jest wolny od podatku. Na prowadzenie jego nie potrzeba specjalnego pozwolenia.

Auto z dachem do otwierania, przeznaczone do wyjazdów campingowych.



Kanclerz Hitler ogląda podwozie marki Mercedes-Benz.



W nowych modelach motocykli na zbiorniku na benzynę jest specjalna rama, w której umieszcza się mapę. W nocy oświetla ją dyskretnie umieszczona lampka. The New York Times.

Tegoroczny berliński salon automobilowy, którego otwarcie nastąpiło dnia 12 bm., znajduje się pod znakiem tanich i ekonomicznych wozów. Minęły już bowiem czasy, kiedy kupujący rozglądali się przedewszystkiem za potężnemi i reprezentacyjnemi wozami, których utrzymanie kosztowało majątek. Dziś wobec powszechnego zubożenia, na pierwsze miejsce wysuwają się wozy lekkie, zużywające jak najmniej benzyny i oliwy, a jednak szybkie i trwałe. Idąc za tym prądem czasu, fabryki, szczególnie niemieckie, zaprodukowały szereg wozów tego rodzaju. I tak można już dostać trójkołowiec za 850 Mk., czyli za 1750 zł. Normalne auta zaczynają się od 1590 Mk. Poniżej 2000 Mk. można już dostać Opla. Ceny zaś innych wozów kształtują się w następujący sposób: 8-cylindrowy Adler 9.750 Mk., 4-cylindrowy Trumpf 3.750 Mk., 8-cylindrowy Austro-Daimler 20.000 Mk., B. M. W. 6-cylindrowy 3.600 Mk., Buick 8-cylindrowy od 8.900 Mk. do 12.500 Mk., Cadillac 12-cylindrowy 24.000 Mk., nowy Chevrolet 6-cylindrowy 4.400 Mk., Chrysler, Plymouth 6-cylindrowy 5.450 Mk., Citroen 4-cylindrowy 3.550 Mk., Daimler-Benz 6-cylindrowy od 4.400 Mk. do 7.950 Mk.

Z cen tych widać, że auta w Niemczech są znacznie tańsze, aniżeli w Polsce, a przez to dostępniejsze dla szerokiej publiczności. Co do karoserji to obecnie buduje się je przeważnie ze stali i nadaje im kształt erodynamiczny. Najmodniejsze są koła małe. Opony supercomfort wypierają coraz bardziej dawne balony, jedzie się na nich jak w kołysce, ponieważ są znacznie szersze od dotychczasowych i elastyczniejsze. Cena jest ich wyższa tylko o 12 prc. od balonów.

W dziedzinie motocykli dużo drobnych ulepszeń. Na wystawie przodują marki niemieckie. Całość robi imponujące wrażenie. Z mowy, którą na otwarciu Salonu wygłosił kanclerz Hitler, wynika, że rząd niemiecki zamierza automobilizm otoczyć czujną opieką, zniżyć ciężary podatkowe, rozbudować odpowiednią sieć dróg i popierać automobilowe imprezy sportowe. **Par.**

U KSIĘCIA RADZIWIŁŁA NA DZIKACH.



Ag. fot. „Światowida".

W Antoninie (Wielkopolska) u ks. Radziwiłła odbyło się w tych dniach reprezentacyjne polowanie na dziki, w którem wzięło udział szereg osób z Poznania i okolicy, m. i. wicewojewoda poznański, p. Kaucki, prezes Wyż. Sądu Adm. dr. Mravincsics, generalny kurator dóbr ks. Radziwiłła płk. dr. Macko, płk. Walczak, prof. uniw. poznańskiego dr. Schechtel, konsul czeski dr. Doleżal, red. dr. Szperber, nadleśniczy inż. Wyrzykowski itd. Polowanie udało się doskonale. W czasie przerwy goście usiedli do tradycyjnego bigosu (na zdjęciu). Brakowało tylko śniegu, który stajał wskutek zwyżki temperatury i ciepłych wiatrów południowych. Zaznaczyć należy, że rewiry łowieckie ks. Radziwiłła w Wielkopolsce należą do najlepiej utrzymanych i słyną z obfitości zwierzyny.

NÓŻ W PLECY DLA SŁAWY.



Dr Róża Meller

Gdy onegdaj policja wiedeńska otrzymała doniesienie, że popularna literatka i lekarka wiedeńska, kobieta wybitnie piękna, dr. Róża Meller padła ofiarą zamachu nieznanego sprawcy, we Wiedniu zawrzało. Afera miała bowiem wybitnie chicagowski charakter. Jak zeznała literatka, oraz jej laborantka p. Ruscha, już od dłuższego czasu niepokojono dr. Meller tajemniczemi pogróżkami telefonicznemi. Nieznane indywidua czatowały na nią na ulicy. Dwa listy anonimowe miały wyjaśnić cele zamachowców. Zbrodnia ich miała podobno charakter polityczny.

Różę Meller znaleziono w jej pokoju przyjęć ciężko ranną od kilku ciosów, zadanych nożem kuchennym w plecy. Gdy odzyskała przytomność, opowiedziała co następuje: Krytycznego dnia przybył do niej nieznany młody człowiek w charakterze zwyczajnego pacjenta z prośbą, aby lekarka opatrzyła mu rękę. Róża Meller, nie podejrzewając niczego, odwróciła się, gdy wtem ugodzono ją kilkakrotnie nożem w plecy. Ociekając krwią, padła zemdlona. Nie wie, co się dalej stało, przypuszcza jednakże, iż sprawca musiał sam się zranić, aby mieć pretekst wizyty u lekarki. Znaleziono bowiem w ustępie watę z odrzuconego bandażu. Widocznie przeczekał on tam moment odejścia laborantki, aby móc bez świadków napaść na lekarkę.

Po kilku dniach listy anonimowe i kartkę, pozostawioną jakoby przez zamachowca, poddano dokładnemu badaniu. 50-krotne powiększenia pisma wykazały, że jest to ten sam system maszyny, jaką posiada pani Meller. Także sprzeczności w zeznaniach literatki wywołały podejrzenia, co do prawdziwości jej zeznań. Po nitce do kłębka policja doszła do przekonania, że zamach był sfingowany. Ale dlaczego? Co skłoniło piękną i utalentowaną autorkę i lekarkę do uczynienia z siebie bohaterki sensacyjnej afery miłosnej, lub ofiary nienawiści narodowych socjalistów? Przypuszczano, że Róża Meller, kobieta w „niebezpiecznym wieku", pod wpływem rozstroju nerwowego sfingowała sama zamach i teraz nie wie, kogo ubrać w tę zbrodnię.

Wreszcie zmieniła Róża Meller swe zeznania, mówiąc, że popełniła samobójstwo. Skłonić ją miał do tego zawód miłosny. Przytem nerwy jej doznały silnego wstrząsu wskutek rzucenia się z okna II-go piętra przyjaciela jej dra Jerzego Kleina, któremu zapowiedziała zerwanie. Od tego czasu, t. . od 30 grudnia widok ten prześladuje ją ustawicznie i nie daje jej spokoju. Natomiast denat, który znajduje się obecnie na klinice we Wiedniu, zaprzeczył stanowczo, jakoby jego krok miał coś wspólnego z osobą p. Meller.

Lecz wkrótce wyszła na jaw przykra i brzydka prawda. Afera miała tło materjalne. W najbliższym czasie mianowicie odbyć się ma premjera sztuki Róży Meller w jednym z teatrów nowojorskich. Literatka sądziła, że musi ją poprzedzić reklamą w czysto amerykańskim stylu. Przelała zatem własną krew, aby rozgłos literacki wzmocnić rozgłosem skandalu. Skandal już jest, rozgłos także, więc może cel będzie osiągnięty. Wątpić jednak należy, czy na gruncie europejskim.

Następstwa spowodowanej przez literatkę afery nie dały na siebie we Wiedniu długo czekać. Wprawdzie dr. Meller została już wypuszczona na wolną stopę, lecz wpłynęła przeciwko niej skarga o wprowadzenie w błąd władz, za co czeka ją przypuszczalnie kara aresztu do 6-ciu miesięcy. Prasa, zwłaszcza kobieca, wyraża oburzenie z powodu jej niesamowitego postępowania. Robotnicza Kasa Chorych zwolniła ją natychmiast z urzędowania i wydała ostry zakaz wpuszczania Róży Meller w obręb budynku.

(mb.)

KATASTROFA W ZAGŁĘBIU SAARY.



Już się prawie nie pamięta, że Traktat Wersalski, definitywnie zmieniwszy kartę terytorjalno-polityczną Europy, jedną sprawę pozostawił przyszłości do rozstrzygnięcia. Oto dopiero za lat piętnaście po ratyfikacji Traktatu, plebiscyt ludności Zagłębia Saary (w południowo-zachodniej części dawnego cesarstwa niemieckiego) rozstrzygnie, czy terytorjum to należeć będzie do Francji, czy też do Niemiec. A kraj to wprawdzie niewielki, lecz posiadający pierwszorzędne znaczenie, jako jedno z ognisk hutnictwa i górnictwa, wielkich kopalń węgla kamiennego. Wśród miejscowości w Zagłębiu Saary, jedną z największych jest Neunkirchen, liczące około 40.000 mieszkańców, posiadające bardzo bogate kopalnie węgla, huty żelazne i fabryki cementu. Miejscowość ta w ostatnich dniach w tragiczny sposób zyskała rozgłos w całym świecie. Oto w piątek dnia 10 b. m. wydarzyła się tam straszliwa katastrofa eksplozji, rozmiarami przewyższająca wszystkie dotychczasowe nieszczęścia podobnego rodzaju. Z przyczyny, dotychczas jeszcze niezbadanej dostatecznie, eksplodował nagle olbrzymi zbiornik gazowy, pojemności 120.000 m^3. Wybuch tak ogromnych ilości gazu posiadał tak niesłychaną siłę, że nawet w okolicy dokonał straszliwego dzieła zniszczenia. W samem zaś Neunkirchen wydobyto z pod gruzów około stu zabitych, kilkaset zaś jest rannych, niejednokrotnie bardzo ciężko, czasem nawet wprost beznadziejnie. Żadne zniszczenie wojenne nie mogłoby w tak krótkim czasie tyle fatalnych wywołać skutków, co ta katastrofa. Następstwa jej będą niewątpliwie długotrwałe. Trudno bowiem sobie wyobrazić, by możliwą była odbudowa fabryk, przynajmniej w bliskim czasie. O charakterze tego dzieła zniszczenia daje wyobrażenie zamieszczona tutaj rycina, dokonana wkrótce po katastrofie, a przedstawiająca szczątki olbrzymiego zbiornika gazu w Neunkirchen. Obraz to, przypominający najstraszliwsze dzieła bombardowani w czasie wojny, lub też skutki największych trzęsień ziemi. W ten tragiczny sposób Neunkirchen przypomniało się całemu światu jeszcze przed rozstrzygnięciem otwartego pytania, do kogo będzie należeć. Komu się ostatecznie dostanie, ten już dawnego, świetnie rozwijającego się ogniska hutnictwa i przemysłu nie posiądzie. Na zdjęciu ruiny budynków fabrycznych w hucie żelaza w Neunkirchen.

PROCES BRZESKI W APELACJI.

W innych już okolicznościach toczył się przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie proces przeciwko przywódcom Centrolewu, niż przed rokiem w Sądzie Okręg. Obrońcy złożyli swoje mandaty, oskarżeni opuścili salę rozpraw, publiczności niemal zupełnie nie było, przemówienia oskarżycieli padały w niemal zupełnie pustą salę. Wyrok Sądu Apelacyjnego potwierdza odnośnie do winy i kary orzeczenie I instancji, odrzucając tem samem sprzeciw zarówno oskarżonych, jak i oskarżenia. Zmiana odnośnie do I instancji polega tylko na przedłużeniu skutków kary, t. j. okresu pozbawienia praw publicznych. Nie jest to jednak prawdopodobnie jeszcze ostatnia instancja. Obrońcy oskarżonych wnieśli bowiem do Sądu Najwyższego żądanie kasacji wyroku II instancji.



Grupa trzech oskarżonych przed Sądem Apelacyjnym (od lewej): pp. Bagiński, Barlicki i Lieberman.



Prokurator Grabowski, przedstawiciel oskarżenia.



Poseł Witos, jeden z oskarżonych, w kuluarach Sądu Apelecyjnego.



Sędzia Chodecki (w pośrodku), odczytujący referat. Na lewo prokurator Rauze, (na prawo) przewodn. Sądu Gacek.

POSEŁ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ NA KREMLU.



Poseł polski w Moskwie p. Juljan Łukasiewicz (po lewej), obok niego prezes Centralnego Komitetu Wykonawczego Związku Sowieckich Republik Radzieckich p. Kalinin, na ręce którego poseł Łukasiewicz złożył swoje listy uwierzytelniające. Unionbild.

Stosunki polsko-sowieckie układają się coraz poprawniej. Przyczynił się ku temu przedewszystkiem pakt o nieagresji, zawarty przed kilku miesiącami i zaraz potem ratyfikowany przez p. Prezydenta Rzplitej, a także ta świadomość, że oba państwa mają wspólne interesy gospodarcze, jako najbliżsi sąsiedzi.

Podwaliny pod tę politykę położył ambasador dr Stanisław Patek, jeden z najwybitniejszych naszych dyplomatów, który obecnie został przeniesiony na odpowiedzialną placówkę do Waszyngtonu. Następcą jego w Moskwie został mianowany dr Juljan Łukasiewicz, który dnia 2 lutego wręczył na Kremlu swoje listy uwierzytelniające. W mowie swej zaznaczył poseł Łukasiewicz, że „otwiera się dla obu państw obecnie pole do wzajemnej wymiany zdobyczy, osiąganych w dziedzinie nauki i sztuki".

W odpowiedzi na to przemówienie oświadczył Kalinin, że cieszy się z pogłębienia wzajemnych stosunków pomiędzy Polską a Sowietami.

Feljeton tygodniowy.

TROCHĘ KOMBINACYJ PRZY STOLIKU BRIDŻOWYM.

Mój bridżowy przyjaciel jest emerytem w dość podeszłym wieku, bo onegdaj przekroczył czterdziestkę.

Od sześciu lat zabija czas czem może — a przedewszystkiem grą w bridża, w której, jak twierdzi, doszedł do perfekcji, stojącej u szczytu artyzdu. — Gra, jak Paganini...

Niema takiej sytuacji, w którejby nie znalazł jakiegoś zagrania, gnębiącego przeciwnika z kretesem.

A że sługiwał zbrojnie czasu wojny i był ostatnio nauczycielem, lubi pouczać swych partnerów i wyłuszczać im zasady i podstępne chwyty tej, tak zawiłej gry.

Czyni to uprzejmie i delikatnie, nie unosząc się i nie denerwując graczy.

„Trzeba nie mieć zielonego pojęcia o grze, żeby tak zagrać, jak ty... Przecież należało impasować. Na króla impasuje się zasadniczo zawsze. Jeżeli masz w ręce asa, a na stole damę..." Rozpoczął się długi wykład o „widelcu w ręku z asa i damy i dziadka", o zagrywaniu w „młódkę", o pocieszaniu się faktem, że „król za asem zawsze bierze" i t. p. przykazaniach bridżowych. „Trzeba mieć wodę w głowie, by tak idjotycznie zagrać", zakończył cenne uwagi.

W następnej grze rozgrywał sam partję... Wpadliśmy bez pięciu z kontrą.

Rzecz oczywista, iż winę w tym wypadku ponosiłem ja, gdyż „pary z ust nie puściłem" w czasie licytacji i nasi przeciwnicy, którzy nie mają pojęcia o graniu.

Wielokrotnie powtarzane wykłady przyjaciela zrobiły swoje.

W wolnych chwilach od innych zajęć zająłem się studjum bridżowej sztuki. Przeczytałem stosy broszur, rozwiązałem okrągły tysiąc problemów, przeczytałem wszystkie „Kuryery bridżowe" w „IKC." Przykazania, wskazania, zasady, chwyty, sztychy i riposty znałem na pamięć. Umiałem zagrywać „anglika", „francuza" i „amerykana", „markować kolor", powtarzałem dniem i nocą, że „impas jest duszą gry", poznałem przeróżne „widelce", słowem byłem żywą encyklopedją bridżowej sztuki.

A kiedy mimo całej umiejętności, mimo skupienia i wysiłku przegrałem cztery pokaźne robry pod rząd, postanowiłem przejść kolejno wszelkie kombinacje, jakie ta skomplikowana gra nastręczyć może.

Chodziło o ustalenie jakiejś ogólnej zasady gry, coś nakształt przepisów na rozbicie banku w Monte Carlo, którą stosując, możnaby zawsze wygrać. Rozpocząłem rachunek.

Chodziło o znalezienie odpowiedzi na proste pytanie: Ile to kombinacyj może zajść w ułożeniu 52 kart, dzielonych między 4 partnerów, w myśl przepisów bridżowych, tak, że każdy z nich przy każdem rozdaniu otrzymuje 13 kart. Znachodząc odpowiedź na to pytanie, miałem zamiar rozegrać wszelkie możliwe gry i tym sposobem, do teorji dodając zaprawę, prześcignąć mego kaznodziejskiego i mistrzowskiego przyjaciela.

Rachunek nie trwał długo. W wyniku nie tak znowu trudnych obliczeń, dostałem liczbę:

53644737765488792839237440000,

która ludzkim językiem czytana brzmi:

53644 kwadryljonów, 737765 tryljonów, 488792 biljonów. 839237 miljonów, 440 tysięcy. Tyle jest możliwych gier w bridżu.

Proszę wierzyć, że rachunek zrobiłem dobrze.

Pociemniało mi w oczach. Potworność tej liczby nie da się niczem uzmysłowić.

Gdybyśmy całą kulę ziemską, lądy i morza zastawili bridżowemi stolikami, a przy każdym z nich posadzili czterech graczy, zakładając równocześnie, że teren zajęty przez grających ma powierzchnię 1 m², przyjmując dalej, że na rozegranie jednej gry przeznaczamy 5 minut czasu, łącznie z mieszaniem i dzieleniem kart, że przy każdym z tych stolików toczy się gra bez przerwy dzień i noc, to mimo wszystko do wyczerpania wszelkich możliwych kombinacyj gry trzebaby było zgórą miljard lat.

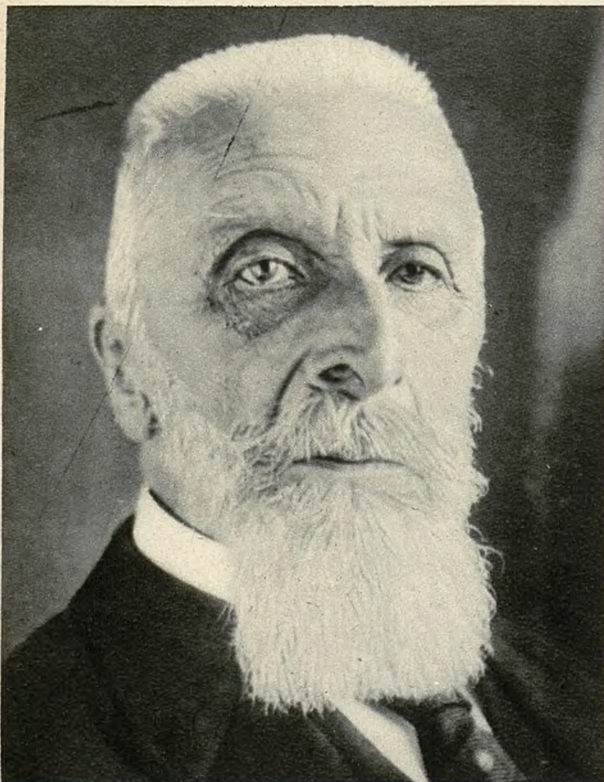
Mamy więc wszyscy dość czasu jeszcze na spotkanie w bridżu takich kombinacyj, których nikt nigdy nie przewidział i nie określił aforyzmem karcianym.

J. B.



Partja bridża, choroby grasującej obecnie nagminnie, na terenie całej Polski.

REPORTAŻ ze ŚWIATA



ZGON WĘGIERSKIEGO DYPLOMATY. W Genewie zmarł po krótkiej chorobie w 87-mym roku życia hr. Albert Apponyi, przedstawiciel Węgier przy Lidze Narodów. Zmarły należał do najwybitniejszych mężów stanu powojennych Węgier. Urodzony w 1846 r. we Wiedniu, wcześnie poświęcił się polityce. W 1872 r. wszedł do parlamentu węgierskiego. W 1906 r. objął stanowisko ministra Wyznań i Oświecenia. Po klęsce Węgier, jako przewodniczący delegacji pokojowej, układał się z koalicją. Nie chciał jednak podpisu swojego położyć na traktacie trianońskim. Ostatnie lata swego życia poświęcił pracy przy Lidze Narodów. Bywalcy genewscy znali dobrze jego wyniosłą postać i twarz, pełną powagi, rozumu i skupienia. Był to bowiem arystokrata w każdym calu, a przytem człowiek postępowy. Władając świetnie wszystkiemi ważniejszemi językami europejskiemi, w podziw wprawiał audytorjum, wygłaszając przemówienia pokolei po francusku, po angielsku, po włosku itd.

Scherl — Berlin.



SAMOLOT W PAJĘCZYNIE DRUTÓW TELEGRAFICZNYCH. Druty telegraficzne i nadziemne kable stwarzają wielkie niebezpieczeństwo dla samolotów, szczególnie w razie konieczności przymusowego lądowania. Samolot bowiem, zaplątawszy się w druty, traci momentalnie równowagę i pada bezwładnie na ziemię. Taka właśnie katastrofa przydarzyła sie w pobliżu miasta Yorkville w Stanach Zjedn. A. P., gdzie samolot bombowy, uderzywszy po starcie o druty, runął na tor kolejowy i stanął w płomieniach. Załoga, złożona z pięciu osób, zdołała jednak uratować się, odniósłszy tylko lekkie oparzenia. Ruch komunikacyjny został jednak na kilka godzin zatrzymany. Na zdjęciu zgliszcza samolotu po katastrofie.

Scherl — Berlin.



ZGON KSIĘCIA KOŚCIOŁA. W Rzymie zmarł kardynał Frühwirth, przeżywszy 88 lat. Urodził się w Styrji. Za pontyfikatu Piusa X był nuncjuszem apostolskim w Monachjum.

Atlantic Photo.



NIEMCY W SZALE WALK BRATOBÓJCZYCH. W Niemczech na porządku dziennym są mordy polityczne, dokonywane przez bojówki, zarówno komunistyczne, jak i hitlerowskie. Ostatnio ofiarą komunistów padł niejaki Majkowski w Berlinie, którego zastrzelono na ulicy. Pogrzeb jego zamienił się w olbrzymią manifestację żywiołów nacjonalistycznych. — Na zdjęciu złożenie trumny ze zwłokami Majkowskiego do grobu.

Atlantic-Photo.

OBRAZKI Z ROSJI SOWIECKIEJ.

(Oryginalna korespondencja z Moskwy).

UDARNIK.

W tłumaczeniu na nasz język słowo to oznaczałoby „szturmowca" (nie „szturmaka"), zalatywałoby wonią prochu, klekotem kulomiotu i trzaskiem ręcznych granatów.

Natomiast w czerwonem państwie „technicznej ofensywy" słowem „udarniczestwo" określa się (oficjalnie) „nową formę aktywności i entuzjazmu mas budujących socjalizm", formę, której celem jest dobrowolne podwyższenie wydajności pracy oraz racjonalne wykorzystanie mechanizmów i siły roboczej w myśl hasła „piatiletka w 4 lata"... Jak widzimy rzecz to pierwszorzędnego znaczenia, choć tak mało się u nas o niej słyszy.

„Dobrowolne podwyższenie wydajności pracy" i to jeszcze przy „racjonalnem wykorzystaniu mechanizmów"... Wyklęty przez czcigodnego Marksa za wyzyskową formę akordu kapitalista, tensam, który wykombinował ostatnio nową — po marksistowsku „zbrodniczą" — podniętę wydajności pracy, tj. premjowane współzawodnictwo — ofiarowałby pewnie pół swego majątku za prawo eksploatowania patentu „udarniczestwa", temwięcej, gdyby dowiedział się, że do tego „udarniczestwa" doczepione jest także „współzawodnictwo", tylko, że nie takie kapitalistyczno-burżuazyjne, które kończy się tam, gdzie kończą się siły zawodnika — ale „socjalne" — („socsorewnowanje"), które odznacza się tem, że nie zna wogóle granic niemożliwości — przynajmniej w teorji.

To byłby przecież busines... lepszy od kieszonkowego automobilu. Bo trzeba wiedzieć, że „udarnicy" — wbrew zestarzałym pojęciom kapitalisty, który czekał, aż rezultat konkursu wyrzuci jakichś parę mizernych sztuk „elity" — sami bez żadnych takich ceremonij mianują się „elitą". Mogą się zatem rodzić jak grzyby po deszczu i objąć 100% wszystkich pracowników. 100% „elity" na fabryce — cóż to za raj dla produkcji!

Dla tych to 100% kierownictwo określa plan — odpowiednio wysoki — powiedzmy 10.000 par obuwia dziennie. W tem miejscu jednak rozgorzali entuzjazmem „szturmowcy elity" wołają: „Mało! mało! — my chcemy zrobić 20.000 par!!" I gdybyż na tem był koniec. Ale teraz dopiero wchodzi w grę to „soc.-współzawodnictwo". Oto inna fabryka, należąca do posiadacza tego patentu, zwraca się do pierwszej z wyrzutem: „Cóż to wy — mówi — podwyższacie plan tylko o 100%? A my podwyższamy go o 200%. Nie damy się i my, bracie" — wołają pierwsi obuwnicy i deklarują już 40.000 par dziennie ittd. itd.

Prawda, jakie to piękne? Jak łatwo w takich warunkach posiadacz kombinowanego patentu „udarniczestwa z socsorewnowanjem" przyprawiłby o plajtę wszystkie konkurencje z Bat'ą na czele.

— Znowu jakiś sowiecki paradoks — pomyśli czytelnik, który choć przez chwilkę pogłowi się nad dylematem, czy wysiłek powinien decydować o wyróżnieniu, czy też naodwrót — wyróżnienie może być takie jakieś samorodne, a właściwie samozwańcze i jako takie powodować dopiero wysiłek. „Dobrze, ale gdzież tu jest wyróżnienie, skoro w zasadzie 100% pracowników może ogłosić się „udarnikami" — powie filozof po namyśle, — przedsiębiorca zaś, którego kwestja ta najżywiej mogłaby zainteresować, zapyta bez namysłu: „Czy ci „udarnicy" nie są przypadkiem lepiej wynagradzani, bo w takim razie cały ten pomysł z entuzjazmem celuje przedewszystkiem w moją kieszeń".

I obydwaj mają dużo racji, a przedewszystkiem ten drugi, jako, że materjalne premjowanie tych samowolnie wyróżniających się entuzjastów — wbrew odmiennie brzmiącej reklamie — istnieje.

To materjalne wyróżnienie nie jest duże, jako że wogóle cała materjalna strona życia w Sowietach jest mała. Ukrywa się ono pod postacią kawałka przyprawianej mąką kiełbasy, to znów kartki (talonu) na prawo kupna funta klajstrowatych pierników, lub — (to rzadziej) pary butów, niezawsze odpowiadających wzrostowi i płci, ale zato po cenach „niżej komerczeskich" (niżej handlowych). — Nie uśmiechajcie się czytelnicy, — to nie są takie błahe rzeczy w Sowietach.

To też „udarnicy" mnożą się jak piasek w pustyni i niedługo pewnie będzie ich tylu, ilu jest ludzi w „szóstej części świata" — a może i więcej, bo plan trzeba „przewypełnić". Dziś już liczą się na miljony i jest ich pełno nietylko w fabrykach, biurach, kołchozach i sowchozach, na kolejach (ci są najniebezpieczniejsi), w tramwajach, ale nawet w bibljotekach i... archiwach!!

„Udarnicy" to nowy rodzaj ludzi w nowym porządku społecznym, ludzi, których sensacyjna literatura zachodu nazywa „mocnemi", i pisze o nich cuda.

Warto zatem przyjrzeć się bliżej ich działalności, temwięcej, że wbrew tym głosom zagranicy, opinja wewnątrz — ta nieoficjalna — coraz częściej szepce na ucho, — że „udarnicy" zgubią Rosję.

* * *

Pracownicy, czy też zespół pracowników („brygada") mianując się udarnym, musi mimo wszystko spełnić jeden warunek, t. j. podwyższyć swój plan produkcji. Łatwo to powiedzieć, trudniej wykonać. Udarnik, który bierze to „na poważnie" popada z miejsca w kolizję z czasem — (który nie chce „przewypełniać" swego planu) — i upraszczając sobie zadanie przy pomocy najdzikszych pomysłów doprowadza z reguły do mniejszych lub większych katastrof.



To także Udarnicy.



Grają cały dzień w karty.

Kładzie on n. p. pod nóż maszyny, która wycina jakieś części z blachy, zamiast jednego listu — trzy naraz. Po paru minutach noże stempla pryskają w kawałki, naprawa trwa tygodnie, a „udarnik" spoczywa. Przykład inny: udarnik z fabryki ubrań zamiast szyć ściegiem milimetrowym — szyje dla pośpiechu pięciomilimetrowym; ubranie rozłazi się po kilku noszeniach. To dwa zasadnicze typy szkodnictwa „udarników". Pierwszy z nich to psusie maszyn, drugi produkcja defektów.

Rozmiary tych szkód, spowodowanych „szturmowym tempem" sięgają — bajecznych wprost cyfr. I tak: zepsucia mechanizmów w przemyśle włókienniczym określa się cyfrą 20 procent ogólnej ilości, w przemyśle elektrycznym 30 procent i t. d. Psują się też w udarnym tempie lokomotywy kolejowe i tramwaje, psują się automobile, powodując nieczynność parku Sowietów w 40 procent, psują się maszyny rolnicze i wreszcie traktory, te ostatnie bodaj najwięcej, bo prawie w 80 procentach i tyle razy w roku, ile rok ten liczy kampanij rolnych.

„Udarnicy" z jakąś dziecinną beztroską rozbijają te precyzyjne twory zachodniego genjusza wynalazczości, aby potem czekać cierpliwie na ich naprawę i często otrzymać za to jeszcze nagrodę w postaci „koniecznych dla nadrobienia nadgodzinówek". Tak wygląda racjonalne wykorzystanie mechanizmów.

W innych zaś wypadkach gdy mechanizm opiera się „udarnemu tempu" — to nie opiera mu się znów sama produkcja. I wówczas w rezultacie pośpiechu rodzi się wspomniany defekt („brak"). Zjawisko to jest jeszcze ogólniejsze i procentowo efektowniejsze od poprzedniego. W całym n. p. przemyśle obuwniczym ilość „braku" dochodzi do 50 procent, tosamo w przemyśle tekstylnym i ubraniowym (50 proc.) Wysokie te cyfry nie oznaczają bynajmniej maximum, bo są fabryki, gdzie defekt przekracza 80 proc. („Kr. Zaria" i „Mołotowa" w Leningradzie) a dochodzi do 95 proc. (tekst. fabryka gendzińska im. Ordżonokidze).

A zatem znamy dwa sukcesy „udarniczestwa", zepsucie maszyn i defekt produkcji. Trzecim jest żywiołowy, niczem — nawet prawidłami arytmetyki — nie powstrzymany rozwój.

Przykładem tego fenomenalnego zjawiska jest choćby statystyka ruchu „szturmowego" na len. fabryce „Robotnica", która wykazuje na 2573 ogółem zatrudnionych aż 2806 udarników — 108%!!... Bawcie się tą zagadką amatorzy arytmetycznych rebusów, ale nie dziwcie się...

Wszak papier jest naogół cierpliwym, a sowiecki, choć kiepski, cierpliwszy od innych. Czemuż zatem nie fabrykować papierowych „udarników" skoro to tak łatwo. To też n. p. „Zawkom"*) fabryki Stalina (jedna z najw. metalurg. w Leningradzie) redaguje artykuł — raport o ruchu szturmowym na fabryce — raport przeznaczony dla samych „Izwiestji". Artykuł brzmi dumnie: „Na 1 marca — głosi — mamy w naszej fabryce 5803 robotników (500 brygad) t. j. 92% ogółu, będących czynnemi „udarnikami"... to najlepszy dowód wykonania hasła „dognać i przegnać" (oczywiście Amerykę). „Izwiestja" jakoś tego artykułu nie wydrukowały, pewnie przez przeoczenie — a szkoda, bo ucieszyłby tylu entuzjastów sowietów i międzynarodowe biura statystyk miałyby coś do zanotowania w odnośnych rubrykach.

Natomiast odpis tego artykułu wpadł do rąk prowadzącej wojnę z „Zawkomem" redakcji fabrycznego dzienniczka „Stalińca" — który przeznaczony ściśle dla wewnętrznego użytku może pisać prawdę. I ten dzienniczek sprostował: „W całej fabryce — oświadcza — nie można się wogóle doszukać działalności „udarników". Kilka brygad szturmowych wlecze bliski końca żywot. Udarnicy? Gdzie oni? Wszyscy mają nieobecności (proguły), spóźnienia i inne przestępstwa. Nie są to udarnicy, lecz „łżeudarnicy" — kończy gazetka, doklejając ten historyczny przydomek, tak tragicznie związany z dawną Rosją — do nowej równie tragicznej pomyłki, która zaciążyła już i pewnie jeszcze poważniej zaciąży nad dalszym rozwojem sytuacji.

Entuzjazm mas robotniczych, który chciano wyhodować na jałowej glebie czczej doktryny, okazał się bezwartościowem zielskiem, zachwaszczającem całe życie gospodarcze w Sowietach.

Krak.

*) „Zawkom" — fabryczny komitet.



Robotnica Małakanowa z Kolchozu „W ślady Lenina", z nad dolnej Wołgi, należąca do brygady szturmowej pracy. Zamiast 12-tu krów, dogląda dwadzieścia jeden.



Dziewczęta ukraińskie, ze szturmowych oddziałów pracy, z Kołchozu „Perenoga".

Wszystkie zdjęcia Ag. „Unionbild" — Berlin.



Morskie Oko, jezioro w Tatrach.

Fot E. Zalasiński — Kraków.

»MORSKIE OKO NASZE«.

Przed 30-tu laty okrzyk ten rozbrzmiewał po całej ówczesnej Polsce, gazety we Lwowie i Krakowie, wydały nadzwyczajne wydania po decyzji trybunału międzynarodowego, który rozstrzygnął przyznanie Morskiego Oka ziemiom b. Galicji. Spór ten, w którego rozstrzygnięciu decydującą rolę odegrał zmarły niedawno historyk prawa polskiego prof. dr. Oswald Balzer, był dla wszystkich Polaków radosnem potwierdzeniem naszych praw i dowodem, że Polska racja historyczna nie może ulec przed siłą polityczną.

Geneza zatargu o Morskie Oko ma bardzo starą historję. Wiadomo dobrze, że pierwotnie granica Rzeczypospolitej Polskiej i Węgier opierała się o trzon Tatr, przyczem biegła ona przez Polski Grzebień, przełęcz odgraniczającą dolinę Białki (nazwa Polski Grzebień stąd właśnie pochodzi). Granica polsko-węgierska biegła dalej poprzez Rysy, pozostawiając Morskie Oko po stronie polskiej, czego dowodem jest to, że w kronikach węierskich Morskie Oko figuruje stale pod nazwą „Polskie Rybie Jezioro".

Oczywiście w okresie średniowiecza, a później odrodzenia istniały rozmaite przesunięcia w związku z nabywaniem gruntów i posiadłości przez magnatów polskich lub węgierskich po tej, lub drugiej stronie granicy. I tak np. znakomity polski magnat Łaski rozszerzył strefę polskich posiadłości, nabywając po stronie węgierskiej szereg obszarów. Przywileje królewskie, a głównie znany główny przywilej króla Władysława IV wydany góralom w sprawie wypasu bydła, świadczą o tem, że Morskie Oko niewątpliwie pozostawało stale w granicach Polski.

Rozbiory Polski zaczęły się — jak wiadomo — od zaboru Spisza i Orawy przez okupacyjną armję austrjacką. Wówczas to przybyli na miejsce okupacji Kartografowie austrjaccy, posiłkowani przez komisarzy węgierskich, przekształcili na mapach stan posiadania i włączyli bezprawnie Morskie Oko do ziem węgierskich. Zwłaszcza mapy, wydane przez kartografa Seegera wcielają obszar Morskiego Oka i Rybiego Potoku do ziem węgierskich.

Po dokonaniu rozbioru, Austrja rewindykuje dawne ziemie polskie dla Galicji, jednakże w r. 1811 zaczyna sprzedaż dawnych dóbr królewskich magnatom węgierskim. Wówczas to zarząd dóbr magnata węgierskiego Palocsay'a występuje z pretensją do rządu austrjackiego twierdząc, że w skład dóbr Palocsay'ów wchodzi również i Morskie Oko.

Powstaje długoletni spór, który ciągnie się jak wąż morski aż do r. 1856. W tym to roku spór ten zmienia swój charakter i ze sporu prywatnego pomiędzy dwoma własnościami zmienia się na spór natury politycznej, pomiędzy Galicją a Węgrami. Nowy właściciel dóbr jaworzyńskich ks. Hohenlohe zwraca się do rządu węgierskiego z żądaniem załatwienia sprawy przynależności Morskiego Oka. Dodać wypada, że w tym czasie całe społeczeństwo polskie, zaczęło interesować się nareszcie fatalną gospodarką dewastacyjną, prowadzoną przez właścicieli niemieckich przy drodze do Morskiego Oka. Polityka ta groziła zamienieniem Tatr na pustynny Kras, pozbawiony lasów. W tym to czasie założono Towarzystwo parku narodowego im. Adama Mickiewicza, a Towarzystwo Tatrzańskie wezwało społeczeństwo do sprzeciwienia się niszczeniu Tatr.

W wir walki wstępuje znakomity Wielkopolanin Władysław hr. Zamoyski, właściel dóbr kórnickich i kupuje dobra zakopiańskie na licytacji w 1889 roku. Wówczas to Hohenlohe występuje ze skargą przeciwko Zamoyskiemu o naruszenie prawa wasności nad Morskiem Okiem. W pierwszej instancji Zamoyski przegrywa, w drugiej instancji sąd przekazuje sprawę Trybunałowi międzynarodowemi.

Węgrzy nie zasypiają sprawy i wysyłają nad Morskie Oko żandarmerję, która umieszcza się tam w szałasach. Niebawem zaczynają budowę koszar, a w r. 1901 żandarmi węgierscy atakują z bronią w ręku austrjacką komisję sądową (!). Wobec takiego stanu zaostrzenia sprawy, Węgry i Austrja oddają spór pod kompetencje specjalnego Trybunału, którego superarbitrem zostaje Szwajcar, dr. Roth. Rozprawa odbywa się w Grazu i trwa przez szereg tygodni. Ze strony polskiej broni naszych pretensyj prof. dr. Balzer, wykazując na podstawie dokumentów nieprzedawnione prawa Polski

Dnia 10 września 1902 r. zapada w Grazu decyzja przesądzająca b. Galicji całe terytorjum nad Morskiem Okiem i odznaczająca granicę pomiędzy b. Galicją a Węgrami w sposób następujący: granica biegnie przez Żabie, przez Rysy, przełęcz Pod Chłopkiem i Wrota Chałubińskiego, pozostawiając dolinę Białki Węgrom. Granica ta została niestety zatwierdzona traktatem wersalskim, który — nie rozpatrując do głębi całej sprawy — przesądził dawne terytorjum węgierskie nowopowstałej republice czesko-słowackiej.

Morskie Oko, jedno z najpiękniejszych jezior tatrzańskich jest pierwszorzędnym punktem wycieczkowym oraz punktem wyjścia dla poważnych wypraw tatrzańskich. Do Morskiego Oka prowadzi szosa, która utrzymywana była dawniej w stanie doskonałym i stanowiła słuszną chlubę Galicji. Szosa ta przechodzi przez cudowne kąty Tatr, obok polany Poroniec, Łysej Polany, Wodogrzmotów Mickiewicza itd.

Polskie Tatry, które są takie małe w porównaniu z Tatrami czesko-słowackiemi, byłyby jeszcze uboższe, gdyby Morskie Oko przypadło było Węgrom. Kto wie bowiem, czy traktat wersalski wzorując się na ówczesa wytyczonej granicy, nie przyznałby Morskiego Oka republice czesko-sowackiej.

z. g.



Tego roku w połowie stycznia, Morskie Oko zamarzło zupełnie, przy beześnieżnej pogodzie, co zdarza się raz na kilkadziesiąt lat. Przez przeźroczystą taflę lodową, można było obserwować dno jeziora i pływające ryby. Amatorzy ślizgawki mieli okazję ślizgania się u stóp Rysów i Mnicha. Na zdjęciu niemiecka mistrzyni w jeździe sztucznej na lodzie Ulla Schwarz, popisująca się swą sztuką na zamarzniętem Morskiem Oku.

Fot. T. Siemianowski — Zakopane.



Do Morskiego Oka prowadzi doskonała droga automobilowa, zbudowana przez Galicyjski Wydział Krajowy w latach przedwojennych. Szczególnie w lecie drogą tą spieszy dziesiątki aut, autobusów i dorożek, przepełnionych turystami, pragnącymi zwiedzić perłę Tatr, Morskie Oko. Na zdjęciu widok na schronisko nad Morskiem Okiem. Na pierwszym planie stacja dla pojazdów.

PŁYNIE WISŁA, PŁYNIE, PO POLSKIEJ KRAINIE.



Wedle ludowych przepowiedni, dopiero na św. Grzegorza (14. III.) płyną rzeki do morza, t. zn. następuje generalna odwilż. Tego roku, lody na rzekach puściły o cały miesiąc wcześniej, nie wyrządzając na szczęście nigdzie większej szkody. Drobny zator utworzył się tylko na Dunajcu w Pieninach i na Rudawie pod Krakowem. Z innych rzek wylała Bystrzyca koło Lublina. Obecnie po spłynięciu lodów, wznowiono żeglugę na całej Wiśle. Na zdjęciu wolna od lodów Wisła pod Warszawą.

NOWA DAWKA BIBUŁY NA PUSTE ŻOŁĄDKI.



Rząd sowiecki, który stara się zagranicy zaimponować zakrojonemi na ogromną skalę budowlami i fabrykami, nie potrafił, jak dotąd, rozwiązać najprymitywniejszych problemów, do jakich w każdem państwie należy przedewszystkiem zaopatrzenie ludności w chleb, odzież i w inne środki potrzebne do życia. Zamiast chleba, otrzymują mieszkańcy Sowietów wzmożone dawki bibuły propagandowej, sławiącej obecnie reżim i gospodarkę kolektywów, kołchozów i innych tworów komunistycznych. Na zdjęciu rozdawanie broszur propagandowych wśród Uzbeków — (Azja). *Unionbild — Berlin.*

BITWA NAD MARNĄ NA SCENIE.



Tematy wojenne zaczynają być najmodniejsze. Znękana smutną rzeczywistością ludzkość, instyktownie wraca wspomnieniami do tych wielkich dziejowych chwil, które zaczęły się w 1914 r. i rozpoczęły epopeję bohaterstwa. W kinach, teatrach największem powodzeniem cieszą się sztuki, oparte o przeżycia na froncie. M. i. jeden z teatrów berlińskich wystawił sztukę p. t. „Bitwa nad Marną", która zdobyła rekordowe powodzenie. Na zdjęciu moment, kiedy szef sztabu von Moltke wyjaśnia sytuację na froncie pod Paryżem.

GRABARZ POLSKI W GABLOTCE.



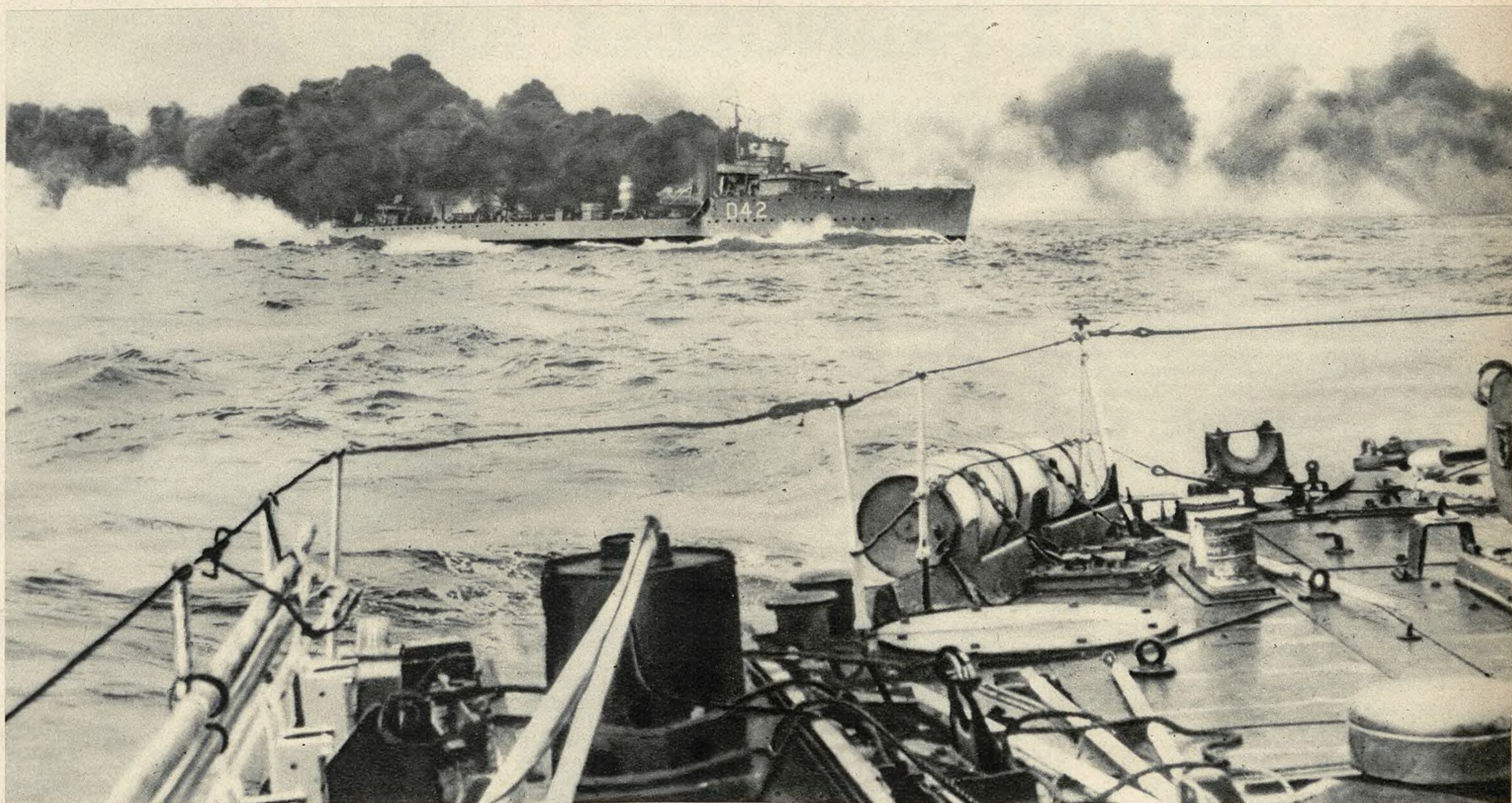
W Dreźnie rozpoczęły się uroczystości, które potrwają cały rok i są poświęcone pamięci elektora saskiego i króla polskiego Augusta II Mocnego, którego dwóchsetlecie śmierci minęło przed kilku dniami. August II zapisał się jak najgorzej w Polsce, Saksonja jednak, a specjalnie Drezno zawdzięczają mu wiele, jako mecenasowi sztuki i twórcy przemysłu porcelanowego. Jego bowiem nadworny alchemik Böttger wynalazł sposób robienia porcelany z glinki, zwanej kaoliną. Fotografja nasza przedstawia króla Augusta II w polskim stroju koronacyjnym z r. 1697, z koroną Piastów na głowie. Figurę tę wystawiono na widok publiczny w jednem z muzeów drezdeńskich.

TYLE DROGI, BOLĄ NOGI.



Gdyby zliczyć te kilometry, które codziennie przebywają listonosze, to okazałoby się, że są to najwytrwalsi piechurzy na świecie. Jeszcze uciążliwszem jest dla listonoszy wdrapywanie się na piętra, gdyż to nadwyręża nietylko ich nogi, ale także serce i płuca. Dlatego na Zachodzie zaniechano zwyczaju doręczania listów wprost do mieszkań, ale poumieszczano w bramach domów specjalne puszki, do których listonosz składa pocztę, przeznaczoną dla poszczególnych mieszkań. Na podobny pomysł wpadli także farmerzy z Nowej Zelandji. Nie chcąc fatygować z lada listem listonosza do odległych farm, poumieszczali na rozstajach odpowiednie skrzynki. Wyglądają one zdaleka jak budki dla ptaków (na zdjęciu). Zamiast ptaków jednak, spoczywają w nich czułe listy, upomnienia płatnicze, pozwy sądowe, gazety itd.

PANCERNIKI ANGIELSKIE W MASKACH ŚMIERCI.



Wide-World Photos — Paris.

Nowoczesne okręty wojenne są wyposażone w dalekonośne armaty, których pociski przebijają najgrubsze pancerze. Dzięki ulepszonym metodom strzelania, działa te biją niezwykle celnie, oczywiście o ile posiadają odpowiednio wyszkoloną obsługę. To też marynarki wojenne wszystkich krajów poświęcają jak najbaczniejszą uwagę ćwiczeniom w strzelaniu, gdyż od umiejętności posługiwania się przez załogę skomplikowanemi przyrządami, zależny jest rezultat bitwy.

Obecnie celowanie jest jeszcze bardziej utrudnione, jak w czasie wojny światowej, gdyż okręty zwykły okrywać się w czasie akcji bojowej zasłonami z dymu i sztuczną mgłą.

W czasie ostatnich manewrów floty angielskiej robiono na wielką skalę próby z tego rodzaju zasłonami dymnemi, które nie zawiodły oczekiwań. Inna rzecz, że zasłony ze sztucznej mgły przestały już być dawno osłoną przed aeroplanami. Istnieją bowiem promienie, które przez mgłę taką przenikają, umożliwiając w ten sposób fotografowanie rzekomo zasłoniętych objektów.

Chemicy jednak nie próżnują. Każdy dzień przynosi nowe wynalazki. Może więc niebawem uda się udoskonalić metody fabrykacji sztucznej mgły i stworzyć jej taką odmianę, której nie przenikną żadne ze znanych dotychczas promieni.

ŻEROWISKO SZAKALI.



Gromady Chińczyków, przeszukujące zgliszcza domów zbombardowanych w Szanhai-kwan na terenie działań armji japońskiej. Keystone, London.

Wojna niesie największe cierpienia ludności cywilnej, która zdana na łaskę i niełaskę stron wojujących, dostaje się niejako pomiędzy młot i kowadło. Ewakuacja, rekwizycje, podwody, pociąganie do robót przymusowych, to poszczególne etapy drogi krzyżowej cywili. Jeszcze gorszy jest ich los, gdy dostaną się oni w bezpośredni krąg działań wojennych. Wtedy giną od kul i gazów, a majątek ich pada ofiarą rabunku i płomieni.

Taki właśnie los spotkał Chińczyków, zamieszkujących miasto Szanhaikwan, które z początkiem stycznia zostało zbombardowane przez Japończyków, przyczem zginęło kilka tysięcy osób, a prawie wszystkie domy spłonęły.

Teraz zgłodniała i doprowadzona do rozpaczy ludność błądzi po zgliszczach, szukając pomiędzy niemi wartościowych przedmiotów. Niby stada szakali włóczą się gromady ludzkie i staczają zacięte walki o lada sprzęt i o lada drobnostkę. Drżące ich ręce pochylają się nad rumowiskiem.

Biedni, zmaltretowani ludzie, bez jutra i nadziei.

EPIZOD POLSKI W SZTUCE DUSCHINSKY'EGO „CESARZ FRANCISZEK JÓZEF I".

W wiedeńskim teatrze Raimunda grają teraz z ogromnem powodzeniem sztukę Ryszarda Duschinsky'ego pt.: „Cesarz Franciszek Józef I", która jest szeregiem obrazów historycznych, przedstawiających blaski i cienie z życia ostatniego cesarza Austrji. Sztuka ta wywołała burz, sprzeciwów ze strony osób, które autor wprowadził na scenę, zniekształcając rzekomo ich sylwety. Obraził się więc w pierwszym rzędzie b. minister spraw zagranicznych hr. Berthold, zato, że Duschinsky przedstawił go, jako sprawcę wybuchu wojny, który cesarza mylnie informuje, aby tylko uzyskać zgodę na rozpoczęcie kroków zaczepnych wobec Serbji, zaprotestował syn arcyksięcia Ferdynanda, uważając, że jego ojciec został z gruntu fałszywie przedstawiony, zagroziła procesem sędziwa Katarzyna Schratt, b. przyjaciółka starego cesarza itd.

Nas specjalnie interesuje epizod polski w tej sztuce, autor bowiem wprowadza na scenę także Polaków, w osobach prezesa Koła Polskiego który występuje pod fikcyjnem nazwiskiem i posła Daszyńskiego, przywódcę socjalistów w parlamencie wiedeńskim. Treścią epizodu polskiego jest walka o powszechne prawo głosowania, której to reformie sprzeciwiali się konserwatyści i polscy członkowie Izby panów i dopiero na wyraźne polecenie cesarza zmienili front. W tej stylizacji scenicznej, która wypadła dla parlamentarjuszy polskich nieprzychylnie, jest niewątpliwie wiele przesady, płynącej zresztą z pewnością nie z jakiegoś specjalnego rankoru do Polaków, ale z faktu, że Koło Polskie we Wiedniu miało w swojem gronie wielu przedstawicieli arystokracji rodowej, przeciwnej reformom prawa wyborczego.

Poniżej drukujemy artykuł jednego z najwybitniejszych znawców życia politycznego monarchji austrjacko-węgierskiej, który wyjaśni, jak naprawdę wyglądała walka o reformę wyborczą, która jest przedmiotem akcji jednego z aktów sztuki „Cesarz Franciszek Józef I".

Pod koniec ubiegłego stulecia socjalizm wszędzie jeszcze uważał siebie i przez innych był uważany za doktrynę wyłącznie międzynarodową, nie tylko sprzeczną, ale wogóle niemożliwą do pogodzenia z zasadami narodu, patrjotyzmu i państwa narodowego. Socjaliści wszystkich krajów wierzyli jeszcze wówczas święcie w powiedzenie Marxa, że „proletarjusz nie posiada ojczyzny". — Za nimi zaś szeroka opinja także innych sfer była oswojona niejako z myślą, że patrjotyzm i różne troski narodowe i narodowo-państwowe są i niejako z natury swej muszą być obce proletarjatowi i wogóle ludowi.

Upowszechniony ten pogląd — jakże dzisiaj opatrzny i fałszywy! — był z jednej strony stałym powodem urągań pod adresem proletarjatu i wogóle ludu, z drugiej jednak stawał się podstawą pewnych rachub i nadziei politycznych. Gdy Wilhelm II piorunował w słynnej swej mowie przeciw socjalistom na „Vaterlandslose Gesellen", to równocześnie wzniosły jego kuzyn, przyjaciel i sojusznik — stary Franciszek Józef, przyzwyczajał się powoli widzieć w owym rzekomym internacjonaliźmie mas robotniczych i wogóle ludowych niejako ostatnią rezerwę środków, mogących posłużyć dla utrzymania w całości jego dziedzicznej monarchji, rozrywanej coraz mocniej i groźniej przez zaostrzające się ciągle spory narodowościowe.

Pogląd ten zdawał się potwierdzać fakt, że w kurjalnym podówczas parlamencie austrjackim spory narodowościowe coraz bardziej brutalne i zaciekłe prowadziły stronnictwa mieszczańskie, których posłowie wychodzili z kurji wysoko opodatkowanych, gdy natomiast socjaliści, którzy weszli do parlamentu z kurji t. zw. „piątej" powszechnego głosowania, stworzonej przez Badeniego w roku 1897, trzymali się od tych sporów zdala, akcentowali tylko zagadnienia socjalne i ekonomiczne, dla podkreślenia zaś międzynarodowej solidarności proletarjatu tworzyli jeden klub poselski, w którym obok Niemców, Czechów i wszystkich innych narodowości, zasiedli oczywiście także i socjaliści polscy pod wodzą młodego podówczas Daszyńskiego.

Już wtedy widok tego spokoju narodowościowego, jaki podówczas okazywali w parlamencie tylko socjaliści, zaczął górne sfery rządzące wiedeńskie oswajać coraz bardziej z myślą, że parlament, wychodzący w całości z powszechnego głosowania, odsunąłby conajmniej na dalszy plan kwestje i spory narodowościowe, wysuwając na pierwszy zagadnienia przedewszystkiem społeczne. W danym zaś układzie stosunków te najwyższe sfery wiedeńskie wolały porać się z zagadnieniami społecznemi niż patrzeć, jak spory narodowościowe, toczone nieraz o najdrobniejsze sprawy np. „zde" zamiast „hier" przy meldowaniu się rezerwistów, powołanych na ćwiczenia, jak napisy na biletach kolejowych, a nawet na... ubikacjach stacyjnych, doprowadzają do paraliżu całą machinę parlamentarną, uniemożliwiając wszelkie prawidłowe rządzenie.

Tymczasem w Rosji wybuchła pierwsza rewolucja październikowa w roku 1905. Zdumiała ona całą Europę, która była przyzwyczajona uważać Rosję za klasyczny kraj absolutyzmu carskiego. Gdy więc wkrótce rewolucja ta okazała się tak dalece zwycięzką, że car Mikołaj II widział się zmuszonym nadać swemu państwu szeroką konstytucję i powołać parlament czyli Dumę z szerokiego, prawie powszechnego głosowania, zapał dla tej innowacji ogarnął także i rządzące sfery austrjackie. Przedewszystkiem stary cesarz Franciszek Józef stał się zdecydowanym zwolennikiem powszechnego głosowania do parlamentu, nakazując swemu rządowi austrjackiemu niezwłoczne opracowanie odpowiednich projektów.

W ten sposób w roku 1906 rozpoczęła się w całej Austrji wielka kampanja o powszechne prawo wyborcze. Polacy galicyjscy byli w tej kwestji podzieleni. Konserwatyści, episkopat rzymsko-katolicki i narodowa demokracja oświadczyli się przeciw reformie, urządzając wiece, podpisując różne deklaracje i t. d., natomiast socjaliści, mieszczańscy liberalni demokraci z Rotterem podówczas na czele i ludowcy Stapińskiego tem gorącej występowali za powszechnością.

Przeciwnicy reformy obok argumentów natury socjalnej i gospodarczej jako główny wysuwali argument narodowy, wskazując na to, że równość i powszechność głosowania podkopie dotychczasowe stanowisko polityczne Polaków w Galicji, że wówczas do bardzo wielkiego głosu dojdą Rusini, co w konsekwencji doprowadzi do podziału Galicji i do przeistoczenia wschodniej jej części w prowincję polityczne ruską.

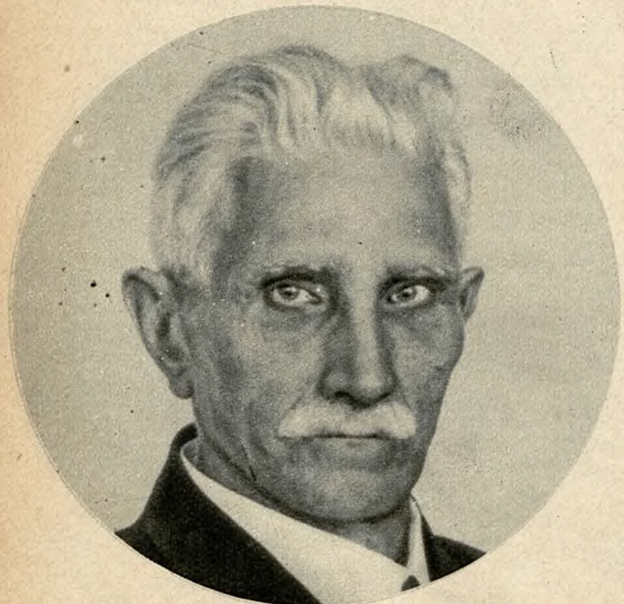
Koło posłów polskich w parlamencie wiedeńskim z wyjątkiem kilku jego demokratyczna-liberalnych członków hołdowało w całości temu zapatrywaniu. To też prezes jego, słynny „regimentarz" Apolinary Jaworski kilkakrotnie udawał sie do cesarza z przedstawieniem obaw i wątpliwości, jakie wobec zamierzonej reformy żywią Polacy.

Akcja ta odniosła jednak skutek ten tylko, że w nowej ordynacji wyborczej dla Galicji zrobiono szereg ważnych wyjątków. Przedewszystkiem specjalnie w Galicji stworzono dwumandatowe okręgi wyborcze, w których kandydat, który zebrał na siebie 25 procent oddanych głosów, już otrzymywał mandat na równi z kandydatem większości, który zebrał całą resztę głosów, lub w każdym razie ich większość. W ten sposób we wschodniej Galicji miały być interesy polskie zabezpieczone przed majoryzacją ruską, w całym zaś kraju konserwatywne interesy socjalne przed całkowitem zepchnięciem ich w cień przez masy ludowe.

Ale i przeciw takiej reformie nie brak było oponentów. W szczególności polscy członkowie Izby Panów okazywali w tej mierze silne nieprzejednanie. Wobec tego stary cesarz zawezwał do siebie kilku panów polskich i arcybiskupa Teodorowicza, komunikując im krótko i węzłowato, że jego życzeniem jest, aby nowa ordynacja wyborcza została bez zwłoki uchwalona i aby głosowali


Arcybiskup lwowski ormiańsko-katolicki Teodorowicz, który jako członek austrjackiej Izby Panów był na audjencji z początkiem 1907 r. u cesarza Franciszka Józefa, w czasie której cesarz wezwał polskich członków Izby Panów, aby głosowali za reformą wyborczą.


Cesarz Franciszek Józef I, którego długotrwałe panowanie jest treścią sztuki, granej obecnie z wielkiem powodzeniem w teatrze Raimunda we Wiedniu.


Poseł Ignacy Daszyński, przywódca polskich socjalistów w parlamencie austrjackim, jeden z głównych wojowników o powszechne prawo głosowania.


Katarzyna Schratt, b. artystka Burgteatru, przyjaciółka starego cesarza.



Scena ze sztuki „Cesarz Franciszek Józef I". Hr. Berthold (Leopold Kramer) odczytuje cesarzowi wypowiedzenie wojny.

za nią także wszyscy panowie i arcybiskupi polscy, w Izbie panów zasiadający.

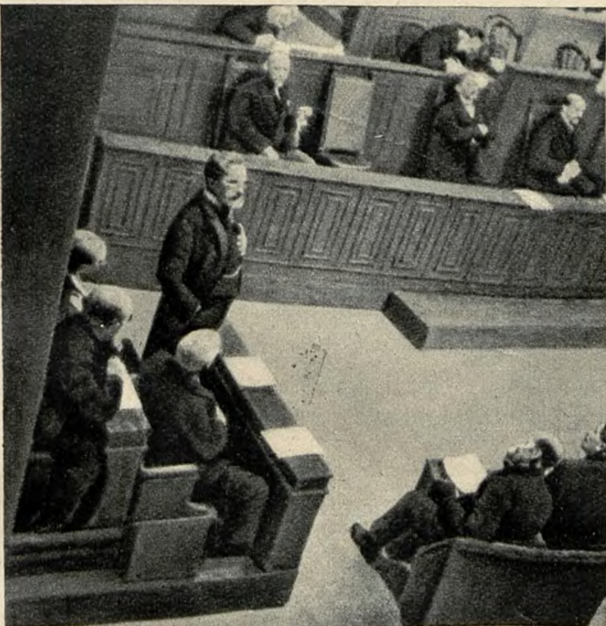
W tych czasach życzenie monarchy było w Austrji rozkazem, wobec którego nawet najzuchwalszy oponent korzył się posłusznie, cóż dopiero mówić o wielkich, utytułowanych panach lub zgoła arcybiskupach. To też w ostatecznym rezultacie za nową ordynacją wyborczą głosowało zarówno całe Koło Polskie w parlamencie, jak też wszyscy polscy członkowie Izby panów na równi zresztą z wszystkimi innymi swoimi kolegami...

Warto przypomnieć jeszcze jeden niepozbawiony komizmu epizod. Oto w grudniu 1906 roku socjaliści postanowili urządzić jednioniowy manifestacyjny strajk powszechny w całem państwie, nadto zaś wielkie pochody z czerwonemi chorągwiami i odpowiednimi napisami a to dla wytworzenia odpowiedniego nastroju dla ostatecznego głosowania, które nad nową ordynacją wyborczą odbyć się miało za dwa czy trzy tygodnie.

I wtedy to zdarzyło się po raz pierwszy, że stary cesarz Franciszek Józef zadeklarował swoją sympatję zarówno dla powszechnego strajku, jak dla manifestacji. Wszystkie też organy administracji państwowej w całem państwie otrzymały rozkaz nietylko nie przeszkadzania, lecz wręcz poparcia akcji socjalistów. Zabawnym też był widok policjantów, gdy rano w dniu strajku generalnego bacznie pilnowali, aby kupcy zamykali swoje sklepy i aby wszelka robota na widoku publicznym ustała.

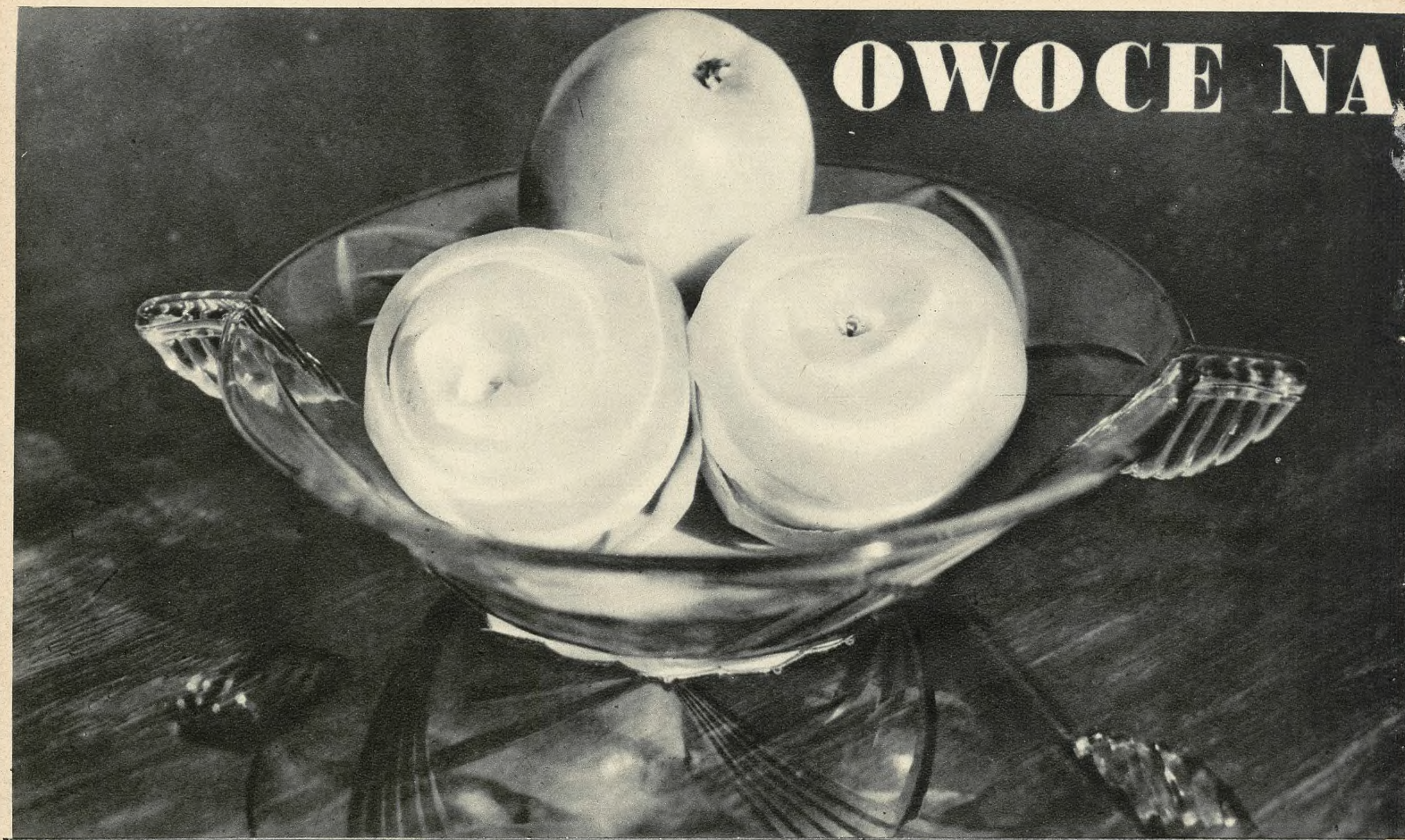
W samym Wiedniu zaś olbrzymi, blisko dwieście tysięcy ludzi liczący pochód socjalistyczny ustawiwszy się przed ratuszem, przeciągnął słynnymi „Ringami" dokoła całego wewnętrznego miasta. Gdy pochód przechodził przed Burgiem cesarskim, czerwone sztandary nie pochylały się wprawdzie, chociaż wszystkich chorążych niewątpliwie swędziały ręce, ale za to kapelusze bez żadnej komendy poleciały z głów, a „rewolucyjny" proletarjat z obnażonemi głowami defilował przed ciemnemi oknami Burgu, za którymi feodalni widzowie z zadowoleniem oceniali ogrom i powagę manifestacji. Nie brakowało między nimi także i samego starego cesarza, który tego dnia miał humor szczególnie dobry... I nie można się temu dziwić, bo gdy jego przyjaciele na tronach drżeli przed socjalizmem, gdy Wilhelm układał plany fortyfikowania koszar gwardyjskich w Berlinie i zarządził wprowadzenie do pułków gwardji specjalnego regulaminu dla walki z ludem zbuntowanym i proletarjatem socjalistycznym, gdy Mikołaj II siedział jak mysz na pudle w swojem Carskiem Siole, bojąc się nosa pokazać w stolicy, stary Franciszek Józef I spokojnie stał w oknie z długiem cygarem „Virginia" w ustach, patrząc na niekończący się pochód socjalistów, którym nie przeszkadzał wtedy ani jeden policjant. Wtedy też po raz pierwszy i ostatni zdarzyło się, że dźwiękom internacjonału wtórowały mocne i pełne zapału okrzyki „Niech żyje cesarz!"

Pom.



Burmistrz Wiednia, dr Karol Lueger, przywódca chrześcijańsko-socjalnych, wygłasza w parlamencie wiedeńskim mowę za reformą wyborczą. (Scena ze sztuki „Cesarz Franciszek Józef I").

OWOCE NA STOLE.



Z ŻYCIA PRZYRODY.

OPIEKUN I OBROŃCA PTAKÓW DRAPIEŻNYCH.

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie“ — mówi poeta, Z. Krasiński.

Opatrzność Boża hojną ręką wyposażyła ojczyznę naszą. Dała nam bezlik najróżniejszych zwierząt i ptaków. Zdawało się przodkom naszym, że to bogactwo żywej przyrody nigdy się nie wyczerpie. Niestety! Szafowaliśmy zbyt nieopatrznie tem bogactwem. Wyginęły bezpowrotnie zwierzęta, jak tur, koń dziki, rosomak, sobol, a inne zwierzęta mają krok jeden do wymarcia.

Przetrzebiono też niemiłosiernie ptaki drapieżne. Rozpowszechnione niegdyś w Europie sokolnictwo, uprawiane też u nas na ogromną skalę już od pierwszych Piastów, wyszczerbiło niejedną lukę wśród naszych skrzydlatych drapieżników. Były przecież całe osady, które się trudniły chwytaniem sokołów i innego drapieżnego ptactwa.

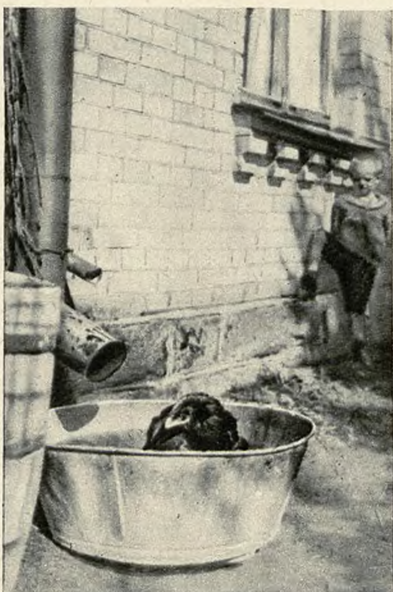
Najwięcej jednak spustoszenia w tych szeregach poczyniły niczem nieuzasadnione zapatrywania nietylko myśliwych, ale i szerokich sfer, że orzeł, jastrząb, czy myszołów jest zdeklarowanym wrogiem zajęcy, przepiórek, kuropatw, bażantów, czy też drobiu na podwórzu, że więc te drapieżce wyniszczyć należy, gdyż inaczej zającom, bażantom etc. grozi niechybna zagłada. Gdy wertujemy stronice dawnych podręczników i pism łowieckich, wszędzie spotykamy się w stosunku do ptaków drapieżnych ze strasznym wyrokiem śmierci na nich, zawartym w słowach „tępić“.

I tu cisną mi się pod pióro słowa Wyspiańskiego z „Nocy Listopadowej“:

„Dałeś mi Panie wszystkie statki
i mnogie, mnogie włości,
— — — — — — — —
jednoś nie wszczepił w pierś litości,
żem się nie poczuł syn tej matki“.

Doprowadziliśmy bezmyślnie do tego, że dziś czynniki państwowe musiały otoczyć opieką ptaki drapieżne, ustalając czas ochronny od lutego do 15-go sierpnia włącznie na ptaki krukowate i drapieżne, z wyjątkiem jastrzębi-gołębiarzy, krogulców, wron i srok, choć i tym ptakom należy się choć odrobinę serca.

Kiedyś Lamartine powiedział: „Każda istota, która cierpi, ma prawo do litości“. Miłosierdzie publiczne słusznie zwróciło się w ostatnich dziesiątkach lat intensywnie do zwierząt i ptaków, zakładając związki i towarzystwa opieki nad zwierzętami. Bowiem prawo do litości posiada nietylko człowiek.



Orzeł krzykliwy w kąpieli.

Zdjęcia J. Wł. Kobylańskiego — Warszawa.



Orzeł przedni.



Orzeł dzwonnik na ramieniu kapitana Pytla w Lidzie.

Znamy dokładnie sposoby dokarmiania różnych ptaszków. Niejedna ręka, kierowana sercem pełnem litości dla wszelkiego cierpienia, sypie ziarna lub okruchy na parapet okna, czy też gdzieś w krzaki lub pod drzewa w parkach. Obrazek to powszedni u nas.

Chcę wspomnieć tutaj o oryginalnym i bodaj czy nie jedynym u nas typie obrońcy i opiekuna ptaków drapieżnych. Jest nim kapitan lotnik Franciszek Pytel, do niedawna przy 5-tym pułku lotniczym w Lidzie, obecnie w Wilnie. Poza propagandowemi odczytami o ochronie przyrody, wygłaszanemi w sali starostwa w Lidzie i dla młodzieży w miejskiem gimnazjum i w szkołach powszechnych, ma kpt. Pytel oryginalny jeszcze dorobek i zasługi na polu ochrony ptaków drapieżnych.

Wykupuje on od chłopów drapieżne ptaki, przez nich źle karmione; bierze od tych, którzy mu je ofiarowują, przynosząc zdrowe, lub postrzelone na polowaniach drapieżce itp. W ten sposób chował u siebie dotąd następujące ptaki: orła przedniego samca, orła krzykliwego samicę, sokoła wędrownego samca, dwa jastrzębie gołębiarze, myszołowa i 3 krogulce.

Ptaki te trzymał nie dla więzienia ich, ale jedynie dla wyleczenia ich i odkarmienia, czyniąc przez ten czas naukowe spostrzeżenia i badania, a następnie wypuszczał w przestworza.

Ptaki te mimo wrodzonej dzikości, znały swego opiekuna i lekarza-dobroczyńcę. Orzeł przedni pozwalał tylko jemu pogłaskać się, więcej nikomu. Orzeł krzykliwy przylatywał do ręki, a nawet przez okno wlatywał do mieszkania, gdy mu pokazano jedzenie na misce.

Sokół wędrowny, początkowo nieprzystępny, chodził po pokoju i podwórzu z innemi ptakami. Orzeł dzwonnik, nazywany „Leszkiem“, nietylko spacerował po dworze, ale wylatywał w odwiedziny do lasu, skąd po kilku godzinach powracał. Wylatywał też na błota, gdzie łowił żaby, które były dlań specjałem. Niejednokrotnie gonili go chłopcy wiejscy. Zawsze wracał do swego żywiciela.

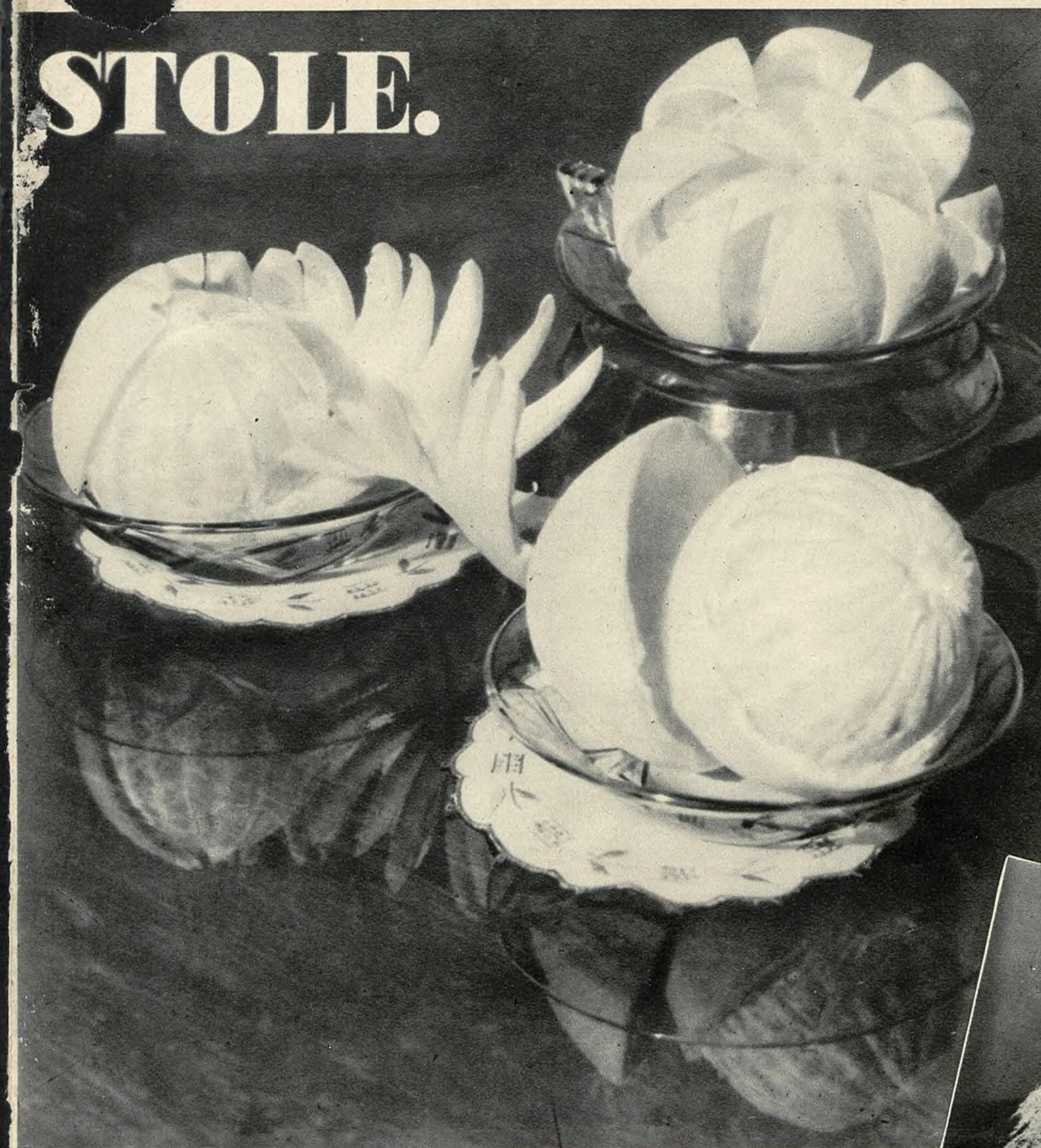
Dla odpoczynku siadały te ptaki na ustawione berła, a zbliżenie się ich pana witały zawsze ruchami wdzięczności i zadowolenia.

Wypuszczane na wolność ptaki, podkarmione i wyleczone, zaopatrywane były w obrączki na nodze z adresem kpt. Pytla.

Powiedział Schopenhauer: „Współczucie dla zwierząt tak ściśle jest związane z dobrocią charakteru, iż można z całą pewnością twierdzić, że kto okrutny jest dla zwierząt, nie może być dobrym człowiekiem“.

W dzisiejszych czasach spaczenia pojęć i zdrętwienia serc, oby tych „dobrych ludzi“ było jak najwięcej.

Józef Władysław Kobylański.



Wymogi nowoczesnej estetyki wkraczają w dziedzinę najdrobniejszych szczegółów życia codziennego i przedmiotów powszechnego użytku. Nie jest to nauka łatwa do przyswojenia, jeżeli wrodzony smak i poczucie estetyczne nie stanowią jej naturalnej podbudowy. Niemniej jednak przyswajanie sobie wytycznych w tej dziedzinie przynieść może przy naśladownictwie dobrych wzorów dużą poprawę. Na przestrzeni kilku ostatnich lat, gdy wracać poczęła równowaga życia rodzinnego i towarzyskiego, poprawę tę możemy obserwować na całej linji, choć przy użyciu skromnych środków, jak to ma miejsce w naszym kraju. Estetyka weszła w progi naszych domów, a my nauczyliśmy się ją cenić i odczuwamy jej potrzebę w życiu codziennem.

Dom, w którym rządzi rozmiłowana w estetyce rączka kobieca, staje się pod jej czujnem okiem uroczem asylum, do którego wracamy myślą przy pracy na innym terenie i gdzie odpoczywamy z rozkoszą po całodziennych trudach.

Te pracowite rączki jakże umieją przemieniać codzienną szarą rzeczywistość w szczegóły godne zastanowienia i podziwu! Jak wykorzystają każdą drobnostkę, nadając wszystkiemu czego dotkną wyrazu prawdziwego piękna!

Polem szczególniejszego dla nich popisu staje się siłą rzeczy stół, przy którym gromadzi się mniejsze czy większe kółko rodzinne dla odpoczynku i miłej pogawędki przy codziennym posiłku. Stół, który przyciąga oczy doborem barw zastawy i harmonijnemi linjami w sposobie jej ułożenia.

Barwnych plam dostarczają kwiaty i owoce!

Owoce są narówni z kwiatami ozdobą stołu przez cały rok. A użyteczność ich jest w dwójnasób wydatna. One to dostarczają nam owych niezastąpionych witamin, one dla zdrowych i chorych uznane są przez nowoczesną medycynę i higjenę za jeden z najpoważniejszych składników pokarmowych. A przytem te bogactwo barw! To bogactwo form, jakiemi cieszą oko, pozwalając na podawanie ich w sposób jeszcze bardziej zachęcający do spożycia z apetytem i tem większym pożytkiem dla zdrowia!



WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. »ŚWIATOWIDA«.



Obecny sezon — to przedewszystkiem jabłka i pomarańcze. Te ostatnie choć niemal na wagę złota, przecież przychodzą od czasu do czasu na stół, niezastąpione dla swych składników i ożywczego smaku.

Pomarańcze, to niesłychanie dekoracyjny owoc! Cudownej barwy skórka ukazuje po umiejętnem rozchyleniu biel wewnętrznej osłonki i misterne działki, zwane popularnie ćwiartkami, które dzielone do wspólnego punktu łączenia, tworzą na tle ładnie obranej skórki całość, przypominającą rozchylony kielich kwiatu. Inny sposób obierania pomarańcz polega na przekrojeniu skórki dokoła i wyjęcia całego owocu, bez uszkodzenia skórki, która tworzy dwie pięknie wgłębione miseczki. Można też zdjąć skórkę nakształt paska, otoczonego z obu stron podłużnemi trójkątami, dzielonej u nasady i jej drugiego końca, skórki pomarańczowej.

Ułożone na kryształowych paterach pomarańcze, całe i obierane, dają pole do popisu umiejętności ich obierania i artystycznego ułożenia.

Także i nasze poczciwe jabłka, doskonale obmyte i wytarte aż do połysku suchą ściereczką, bawią oko swym przysłowiowym rumieńcem i różnorodnością kształtów. Można je obierać w ostatniej chwili przed podaniem na stół, zdejmując cieniutkim nożykiem całą skórkę nakształt serpentyny, od szypułki jabłka aż do spodu. Obierane tym systemem jabłka, nie obsychają szybko na stole i dają oryginalny wygląd zwłaszcza, gdy cała skórka jest silnie rumiana.

Gałązka pierzastego asparagusa wśród owoców podnosi ich zalety dekoracyjne.

J. Z.

LEGENDY ARABSKIE.

SKĄD SIĘ WZIĘŁY CZAROWNICE?

Tarhuna (Trypolitanja).

Przydrożny pisarz miłosnych listów, kondolencyj i kontraktów handlowych, Abdallah el Azabi, uśmiechał się z zadowoleniem...

Opowiadanie legend było dlań największą przyjemnością życiową... Mógł on tak cały dzień siedzieć na swojej macie i, napół otwartemi oczyma, patrząc w dalekie horyzonty nieba, opowiadać o Allahu i Mahomecie... Gdy był zmęczony, połykał garść daktyli, jak wielbłąd, później pocierał czoło suchą, jak pergamin, ręką i mówił dalej.

— Pytasz, skąd wzięły się czarownice? Dobrze! Zaraz ci opowiem. To bardziej intersujące niż perfumy i róże... Wiesz, że ja też miałem w życiu do czynienia z czarownicami.

— Wiem, o najmądrzejszy pod słońcem, synu Allaha i Proroka Mahometa, że nietylko umiesz na pamięć wszystkie wersety Koranu, ale znasz także intymne życie rajskich dziewic. Czytasz w gwiazdach, jak sam Księżyc ich wódz, a przewodzisz burzom i cyklonom, jak sam Stwórca, albo Marabutt z Ghibla Zintan.

Abdallah el Azabi pogłaskany taką przemową, jak koń ostrogą — już nie czuł żadnego zmęczenia. Schował monetę, jaką wsunąłem mu do ręki, wyczuwając czuciem jej zawartość i z ust jego popłynął potok słów.

— W rajskim ogrodzie i na niebieskich gościńcach zaczęły się dziać rzeczy niesamowite. Oto pływające po sadzawkach łabędzie białe, jak oblicze samego Pana nad Pany, zostały pewnej nocy pomazane smołą... W salonach gońców niebieskich powiązano skrzydła Cherubom tak, że nie mogły odlecieć na ziemię z łaskami Allaha... W alei róż oblano korony kwiatów wrzącem wapnem, a grającym hymn poranny palmom pozrywano struny. Dyrygent chóru Serafinów upił się jak bela i nie mógł dyrygować w czasie jutrzni... Na mleczną drogę wypuszczono z uwięzi chmury kosmate w tym czasie, kiedy sam Pan objeżdżał nocne straże na niebieskich gościńcach..., a na księżycu pogaszono ognie w momencie, gdy Allah wstępował do jego pałacu...

Rozgniewało to Stwórcę wielce. Powrócił natychmiast do kryształowego pałacu i wezwał do siebie wszystkich urzędujących ministrów Dowiedział się przy tej okazji o łabędziach, różach, palmach itp. czynach nieznanych złoczyńców.



Czarownica arabska ze swoją wnuczką.

— Niechaj szeik Bescir zbada całą sprawę i natychmiast zda mi raport z odkrycia. Winni muszą być ukarani.

Szeik Bescir, sędzia najwyższego niebieskiego trybunału, przystąpił natychmiast do pracy. Badał kolejno: łabędzie, róże, służbę z pałacu księżycowego, palmy, chmury itd. Usłyszał od wszystkich jednaką odpowiedź:

— Nie gniewaj się, Szeiku i sługo Pana nad Pany. Oto, gdy Stwórca wyjechał z rajskiego ogrodu, przyszły do nas stare, brzydkie panny. Były tak straszne, że swą brzydotą zasugerowały nas. Ulegliśmy. A one robiły z nami, co tylko zechciały. Były złe, a ognie piekielne błyszczały w ich oczach. Z ust wypuszczały płomienie i jadowitą ślinę. Bluźniły Allahowi i Prorokowi. Mówiły, że wielki Pan nad Panami już więcej nie będzie panował w raju, oddając im włodarzowanie... Nie gniewaj się, szeiku, ale były złe, brzydkie i okrutne... Ulegliśmy ich brzydocie i złości...

Allah nie kładł się spać tej nocy. Czuwał w świątyni słońca, ale palmy nie zagrały hymnu porannego, a chór Serafinów nie śpiewał Jutrzni... Był zły i zagniewany wielce. Szeik Bescir zbliżył się do jego stóp, ucałował i na dany znak zaczął opowiadać o starych pannach:

— Skąd się one tu wzięły? — przerwał Pan nad Panami.

— Panie, o Panie! pełen miłości i miłosierdzia — zawołał minister dworu Szeik Sinaun, padając do stóp Allaha. — Daruj, bo ja tu zgrzeszyłem. Oto te złe duchy, które zrodziły się z węży i żmii, nie wrzuciłem do ognia piekielnego, jako rozkazałeś, ale pozostawiłem w raju do ciężkiej pracy. Chciałem je zniszczyć czarną pracą nocy.

— A kiedy one pracowały? — przerwał Stwórca.

— Panie! gdy Ty spałeś i cała piękna natura, one miały pracować, aby nie drażnić Twoich oczu, roślin, zwierząt i kwiatów. Uważałem, że są tak straszne, że tylko pod zasłoną nocy mogą pokazywać się na rajskich alejach... Panie wielkiej miłości i miłosierdzia, daruj mi, bo ja zgrzeszyłem! — z lękiem w głosie, wołał szek Sinaun, całując znowu stopy Allaha.

— Niechaj w tej chwili staną przede mną, aby otrzymać zasłużoną karę — zawołał Pan nad Panami.

I życzeniu Stwórcy stało się zadość. W kryształowym pałacu napełniła się sala lazurowa tak brzydkiemi wiedźmami, że kolor ścian zmienił się na czarny i obmierzły. Allah zamknął oczy i nie chciał na nie patrzeć.

— To nie jest mój dwór, ale djabła — powiedział do siebie, a po chwili zapytał:

— Dlaczegoście to wszystko uczyniły?

— Bądź przeklęty, Allahu! Byłyśmy kiedyś córami Twego orszaku, tak samo pięknemi, jak te, które Ci dziś służą. Zamieniłeś nas w węże i żmije, abyśmy pełzały u Twoich stóp. Część nas wyzwoliła się przy pomocy Twego wroga podziemnego i z rodziny płazów stałyśmy się napowrót niewiastami. Kazałeś nas rzucić w ogień piekielny. Ulitował się nad nami Twój minister i pozostawił w raju, aby nas zamęczyć pracą. W ten wyrafinowany sposób pragnął zniszczyć naszą jaźń. Miałyśmy nocami porządkować stajnie, koszary i ogrody zwierzęce... Zabrałyśmy się do pracy, ale Piękno Raju raziło nasze oczy nawet przy nocnem świetle. Nie mogłyśmy patrzeć na niepokalaną biel łabędzi. Postanowiłyśmy, aby były brzydkie, jak my same... Woń róż drażniła nasze nozdrza i dlatego spaliłyśmy je wapnem. Harfy palm grały na naszych nerwach i dlatego pozrywałyśmy struny. Światło księżyca pokazywało naszą brzydotę drzewom i roślinom, a te odwracały się od nas. Jasność mlecznej drogi zabijała ciemność nocy.

— A dlaczego powiązałyście skrzydła moim gońcom? — przerwał Allah, mając stale zamknięte oczy.

— Szum skrzydeł budził w nas lęk i obrzydzenie... Nie chciałyśmy, aby lecieli do ludzi ze światłem, gdy nam podałeś tylko ciemność. Bądź przeklęty...

Nie dokończyły, bo Allah zerwał się z tronu i pokazując drzwi pałacu, zawołał donośnym głosem:

— Idźcie precz z mego raju. Idźcie na ziemię, na wszystkie cztery strony świata. Odtąd będziecie postrachem ludzi, zwierząt i roślin. Z djabła wyszłyście i z djabłem łączyć się będziecie na ziemi. Mieszkać będziecie tak samo, jak szatan w jamach i pieczarach, a ludzie nazywać was będą czarownicami. Bądźcie przeklęte, czarownice ziemi!

Na głos Pana nad Pany otworzyły się wszystkie bramy raju, a zastępy wojska rajskiego z dobytemi mieczami pędziły precz czarownice, które na ogonach chmur uciekały na ziemię... I odtąd zamieszkały wśród ludzi i w imieniu djabła-szatana robią źle keždemu stworzeniu. Ale przyjdzie czas, że wielki Allah ulituje się nad biedną ludzkością i ześle Proroka, który przepędzi te wiedźmy do podziemi szatana... Wielki Allah niech będzie błogosławiony...

Gustaw Lawina.



Słynny bajarz arabski Abadallah el Azabi z Trypolitanji.

KUBUSIOWA HISTORJA.

Nazywał się Kubuś. Ha! Całkiem pospolite imię. Ale cóż on był temu winien, że go tak nazwano. Był czas, że wogóle się nie nazywał. — Matka poznałaby go wśród tysiąca, zaś dla rozgwarzonych wiecznie świerków, wszystkie sarenki tak mało różniły się między sobą, że Kubuś zupełnie nie zwracał ich uwagi. Biegał więc sobie Kubuś u ich stóp, bo cóż miał robić w lesie? Z trudem podążał za matką, wpadał w śnieżne zaspy, aż po wilgotne nozdrza, torując sobie drogę rzutami smukłego ciała.

I byłby tak pędził swobodny i dziki żywot, aż pewnego razu... chycili go. Trwoga przemogła miłość matczyną, Kubusia oplotły twarde człowiecze ręce, a jego mateczka z sercem rozdartem, z łzą w czarnych, rzewnych oczętach, ścigana rozpacznem spojrzeniem, rwącego się ku niej Kubusia, znikła wśród drzew.

A potem, potem już całkiem poprostu, odkupiliśmy Kubusia od wiejskich chłopaków i Kubuś zamieszkał w ogrodzie przed naszą willą.

Młody był. Szybko się zadomowił. Obraz lasu zatarł się w jego pamięci. Prędko zrozumiał zwyczaje domowe. Z rozmieszczeniem domu też nie miał trudności. Szczególnie dobrze znał położenie kuchni. I co mu trzeba przyznać, że posuwał się aż do zuchwalstwa. Raniutko już czekał otwarcia drzwi, wchodził do kuchni, potrącał wszystkich kto mu się nawinął, to mu smakowało, na tamto kręcił nosem, pozwalając się łaskawie głaskać, a jak zaspokoił głód, to bez marnego „dziękuję“ wybiegał na ogród, ignorując zupełnie licznie zebrane audytorjum.

Śmieszną ostrożność stosował Kubuś wobec obcych. Na widok kusząco wyciągniętej ku niemu dłoni, lekko przymkniętej nie miał siły się oprzeć. Z udaną niedbałością zbliżał się, obwąchując z zajęciem gałązki krzaków po drodze. Poczem z wyciągniętą szyją, rozstawiając szeroko smukłe nóżki, posunął się powoli, śledząc „wroga“ z baczną uwagą. Już... już wilgotne chrapki dotykały dłonie, a tu nagle dwoje rąk zdradziecko oplotło mu szyję i Kubuś ani wprzód, ani w tył.

Po każdym takim wypadku, Kubuś przysięgał sobie, że „już nigdy“.... ale kiedy znów zobaczył dłoń wyciągniętą... słabło mocne postanowienie i łakomstwo brało znów górę.

Nie zawsze jednak tak było, bo trafiali się czasem „porządni“ ludzie. Na wyciągniętej dłoni leżała często gruba figa, ulubiony przysmak Kubusia, a wtedy... „wszystko mi jedno“ — chwytał błyskawicznie wargami za figę i w nogi.

Doskonale orjentował się Kubuś w czasie, nie spaźniając się nigdy na obiad i kolację, a między jednym i drugim upływał mu szybko czas na figlach i psotach.

A co miał za legowisko! Ha! ha! pycha! W ogrodzie znajdował się stos suchych liści usypany w stożek, Kubuś na samym szczycie odgarnął kopytktami śnieg i zwinięty w kłębek śnił o borach, może o wilku, a może o swej mateczce, któż może wiedzieć.

Powracających nocą domowników, w srebrnym odblasku księżyca, uderzał milutki widoczek. Nad stosem ośnieżonych liści wznosiła się zgrabna główka, z parą czujnie stojących uszu, tworząc prześliczną sylwetkę na białym tle śniegu. Gdy drzwi się zamknęły za spóźnionymi gośćmi chwilę jeszcze wznosiła się wdzięczna główka, poczem zwolna opadała, zlewając się swemi konturowemi linjami z ciemną plamą korpusu i liści.

* * *

Śpij Kubusiu. Prześnij do wiosny, a potem, gdy zieleń pokryje pola i lasy, pójdziesz. Wrócisz do boru, i może spotkasz na nowej swej drodze twoją zapomnianą, tak niegdyś ci drogą mateczkę.

Edward Biłobran

Lwów, w lutym 1933.

Humor Światowida

„ZNAWCA".



— *Czy mogę dostać „Dziewice Konsystorskie"?*

— *Niestety nie; ale mamy Boya „Znaszli ten kraj".*

— *Dziękuję; krajoznawczych książek nie lubię...*

WZGLĘDNE.

— Nieprawdaż, doktorze, że bez ślepej kiszki moglibyśmy zupełnie dobrze żyć?

— Ale my nie, łaskawa pani — odpowiada znany chirurg...

ZNA JĄ LEPIEJ.

— Żal ci, że ci zabieram siostrzyczkę — mówi narzeczony do swego przyszłego szwagierka.

— Ciebie mi żal — odpowiada malec.

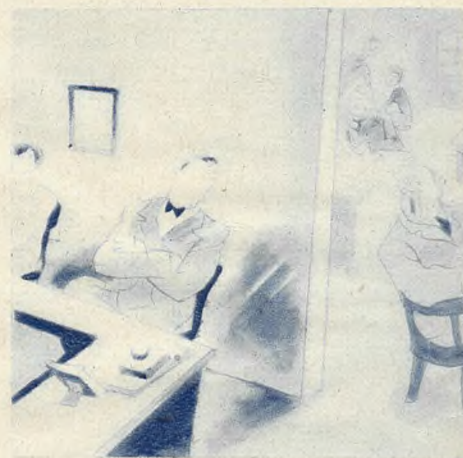
ODCIĄŁ SIĘ.



— *Nie mój panie! Nie chcę, żeby moja córka żyła z człowiekiem niekulturalnym!*

— *W takim razie niech ją pan jaknajprędzej wyda zamąż.*

POSŁUSZNY URZĘDNIK.



— *Czyż nie zabroniłem panu gwizdać podczas pracy?!*

— *Tak, ale ja nie pracuję — ja tylko gwizdam.*

DOBRA RADA.



— *Co? Dwa grosze?! I cóż ja mam z tem zrobić?*

— *Dajcie biednemu...*

PLAGJAT.



— *Co ja słyszę, pan pisze powieść o miłości; przecież ja już na ten temat pisałem!...*

ARYTMOGRAF.

(Uł. Marja Waksmundzka, Jasło, czł. Warsz. Kl. Szar.).



Wyrazy pomocnicze:

1) 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 1, 2, 3, 8, 9, 10 = bieda, chudzina.
2) 11, 12, 13, 14, 15, 9, 16, 17, 18, 19, 20, 17, 11, 5, 21, 22 = umiarkowanie, mierność.
3) 23, 9, 24, 25, 7, 26 = bądź zdrów.
4) 11, 27, 28, 29 = cięcie lasu.

SZARADA - NA ZAKUSY NIEMCÓW.

(uł. L. Ciesielski, czł. Warsz. Kl. Szar.).

„Rewizja traktatu" — u Niemców na ustach
Nie milknie — i w świecie niepokój wytwarza...
Lecz czcze to **sześć-siódme**, gadanina pusta,
Gdyż Polska nie odda nigdy korytarza!

Genjalne **raz-czwarte-piąte** ludzkiej głowy
Poschną na tej sprawie, zestrzępią języki!
Żadne propagandy, na ten temat nowy,
Nic tu nie pomogą, ni żale, ni krzyki!

Niech **cztery-pięć-trzecie** stamtąd krzyżak chciwy
Czemprędzej! A odwet — niech go nie „rozmarza"!
I niech nie dolewa do ognia oliwy,
Bo **siedem-ra** jemu od ziem korytarza!

Niech nie zapomina niedawnej swej klęski
I tysiąc czterysta dziesiątego lecia!
Naród polski silny, odważny i męski —
Łatwa więc ostatnia dłań **raz-g-dwa** i **trzecia!...**

Bo choćby się sprzysiągł nawet i świat cały,
By nad polskiem morzem obca była straża, —
Pięci mu sprawimy tam Grunwaldzkie wały!
Nie damy **wspak dwa-wać** sobie korytarza!!!

Za rozwiązanie niniejszych dwóch zadań redakcja „Światowida" przeznacza

Trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

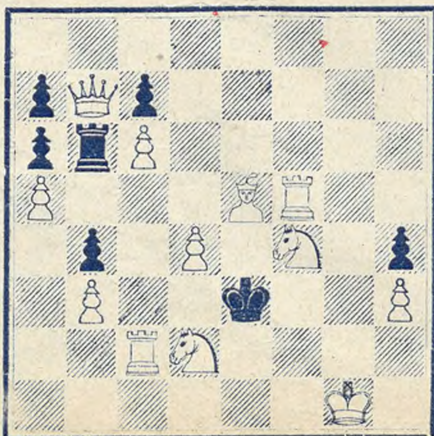
Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 25 lutego 1933 r. wraz z załączonym kuponem.

DZIAŁ SZACHOWY

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

Dr. E. Palkoska (I. nagr. w konk. międzynarod. „Trolhattan" w r. 1932).

Czarne: Ke3, Wb6, piony: a7, a6, b4, c7, h4 (7).



Białe: Kg1, Hb7, Wc2 f5, Ge5, Sd2 f4, piony: a5, b3, c6, d4, h3 (12).

3-chodówka. 12+7=19.

Rozwiązanie 3-chodówki Dr. E. Galkoski: 1. **G—f6** (grozi 2. G×h4); **I.** 1... W×c6 2. H—a8 i 3×; **II.** 1... W—b5 2. H×a6 i 3×.

PARTJA

Białe: **Tramajeres.** Czarne: V. **Marin.**

grana w turnieju o mistrzostwo Hiszpanji w r. 1932.

Obrona francuska.

1. e4 e6
2. d4 d5
3. S—c3 G—b4
4. Sg—e2 **(1)** d×e4
5. a3 G×c3
6. S×c3 f5
7. G—f4 S—f6
8. f3 e×f3
9. H×f3 0—0
10. 0—0—0 S—d5
11. G—c4 c6
12. Wd—e1 S×f4? **(2)**
13. H×f4 W—f6
14. g4 f×g4
15. H×g4 W—g6
16. H—h3 H—g5+
17. K—b1 W—h6 **(3)**
18. Wh—f1! W×h3 **(4)**
19. W×e6! h6
20. W×h6 H—d5
21. S×d5 g×h6? **(5)**
22. S—e7+ **Czarne poddały się (6).**

UWAGI:

(1) Ten ryzykowny sposób gry stał się modnym od czasu partji Alechin—Niemcowicz (Velden 1931).

(2) Wzmacnia atak białych.

(3) Niezbędnem było b5 i S—a6.

(4) Gdyby 18... W—f6 to 19. W×e6! G×e6 20. H×e6+ K—f8 21. H—c8+ K—e7 22. W—e1+ K—d6 23. S—e4+ i t. d. — 18... H—g6 19. H—f3 H—e8 20. d5! i t. d. W razie H—d8 lub H—e7 atak białych nie byłby tak skutecznym.

(5) Umożliwia mat 21... W×h6 broniło dłużej partję.

(6) 22... K—h8 23. W—f8+ K—g7 24. W—f7+ K—h8 25. S—g6+ K—g8 26. W—d7 mat.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 5 nadesłali:

W. Tyblewski, Poznań; kpt. A. Majerowicz, Rzeszów; J. Świerczyńska, Lwów; J. St. Suliński, Kowel; Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik Śl.; A. Herdan, Warszawa; M. Jagusiński, Kraków; J. Stefańczyk, Pabjanice; R. Czaplina, Po-

znań; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Bron. Bereza, Węgrów; Z. Tietz, Warszawa; Zdz. Fischbach, Września; Cz. Kozłowski, Warszawa; Fr. Skowyra, Szarlej; ks. L. Klementowski, Tarnopol; A. Sawicki, Ostróg; W. Nowakowski, Ostróg; A. Bochniak, Tarnobrzeg; Fr. Wiśniewski, Warszawa; St. Matuszkiewicz, Sułkowice; „Manfred"; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; Ir. Popiołkówna, Pabjanice; **Marja Franciszka Jarocka, Warszawa** (zł. 30.—); „Wiślanka"; B. G., Luboń; A. Borowicz, Poznań; L. Lenartowski, Poznań; J. Lenartowska, Poznań; I. Wajsfeld, Pińczów; kpt. L. Hauschild, Nowy Targ; W. Kortylewicz, Poznań; L. Pogoda, Jaworzno; M. Traciłowski, Kowal; J. Rembieliński, Włocławek; H. Turowiczowa, Kraków; „Helenka", Prokocim; M. Uljańska, Rybnik Śl.; J. Czołba, Poznań; A. Grzybowska, Poznań; J. Gdowski, Kraków; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; J. Maziarz, Ozorków; Miecz. Lis, Kraków; Wł. Chmiel, Kraków; dr. H. Opielińska, Poznań; **„K. W. Radom" (zł. 20.**— prosimy uprzejmie o dokładny adres); M. Waksmundzka, Jasło; St. Jabłoński, Prokocim; J. Lisowa, Kraków; W. Ceborski, Tarnopol; J. Stolarski, Łódź; J. Obtułowicz, Węgierska Górka; T. Burman, Kraków; Miecz. Broszkiewiczówna, Kraków; W. Stribrny, Katowice; Kaz. Lilpop, Warszawa; K. Kubiczek, Kraków; W. Ustaszewski, Rembertów; D. Herbstmanówna, Warszawa; Br. Studencki, Słotwina; L. Przechadzka, Piotrków; Zb. Makusz, Nakło; E. Brzozowska, Warszawa; T. Mianowski, Kraków; „Emerytka", Wilno; M. Szewiakowa, Wilno; M. Altenberger, Łódź; Hania i Mira; Kaz. Mirowski, Katowice; J. Jenczewski, Wilno; T. Cieszewski, Wilno; W. Luxemburgowa, Płock; J. Szymańska, Dębieńsko Stare; Wład. Dziador, Kraków; P. Wieczorek, Kochanowice; H. Chromcewiczowa, Lublin; „Niunia", Rzeszów; R. Mendrala, Rzeszów; M. Jarochowska, Gdynia; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; Z. Baczyńska, Kałusz; H. Zadarnowski, Dubno; A. Onyszkiewicz, Lwów; T. Pokorzanka, Zamość; **Marja Szymańska, Sosnowiec** (zł. 10.—); J. Janyst, Łódź; Wł. Pochmarski, Lwów; Zb. Jaworski, Stanisławów; Wł. Milianowicz, Jarosław; Edm. Sieńkowski, Kraków; M. Niekraszówna, Wilno; St. Biesiada, Ozorków; Z. Łobodziński, Kraków; „Ina, Jaśka, Zocha", Kraków; Włodz. Domher, Brody; J. Antoniewiczowa, Równe; St. Gosliński, Toruń; T. Antoszewska, Warszawa; N. K. Kozłowski, Warszawa; M. Strubel, Warszawa; „Joteł"; K. Puchowicz, Warszawa; J. Englert, Lwów; M. Zapiór, Kraków; J. Zapiór, Kraków.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Marję Franciszkę Jarocką, Warszawa (zł. 30.—), „K. W., Radom" (zł. 20.—) i Marję Szymańską, Sosnowiec (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida" wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

Rozwiązanie z Nr. 5.

Polityka Niemiec złamie zęby na sprawie Pomorza.

ODPOWIEDZI REDAKCJI DLA CZYTELNIKÓW W STANACH ZJ.

CHICAGO — TARNOWIANKA SIEROTA: Pan K. żyje. Sprawa w toku. Odpowiednie kroki poczynione. Oczekujemy od Pani dalszych wiadomości.

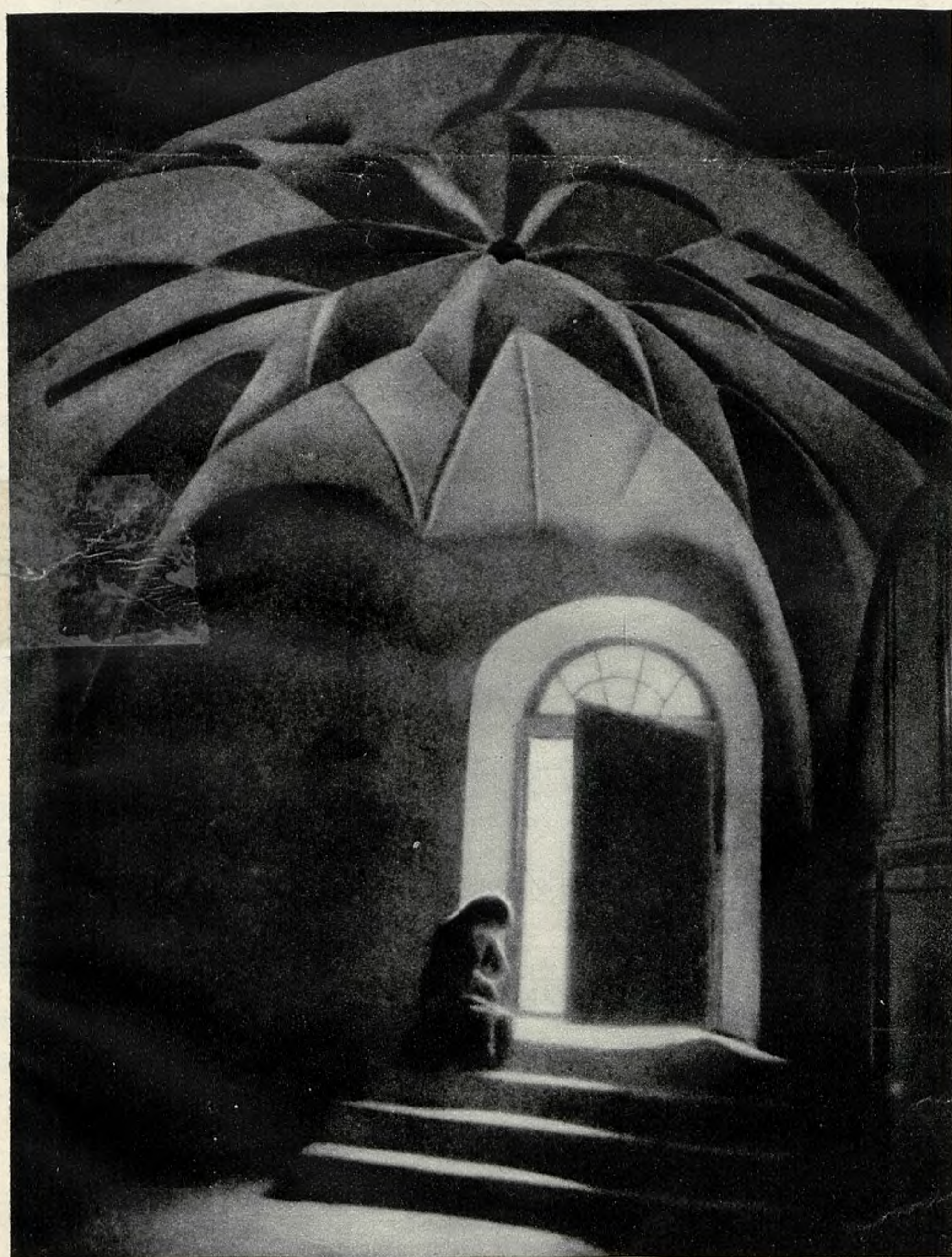
Czytajcie „Wróble na Dachu".

Kącik Fotoamatora.

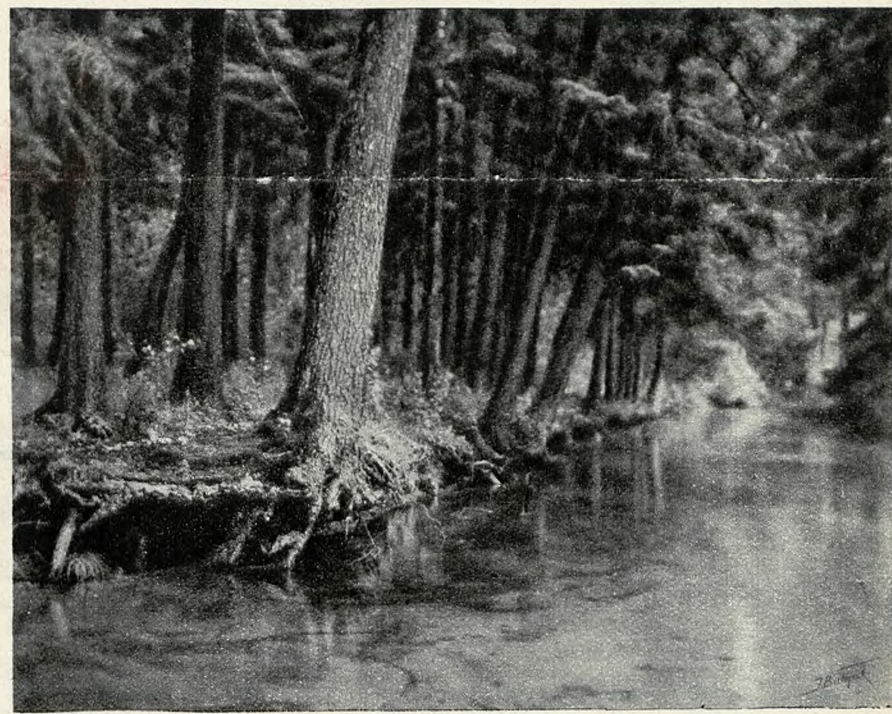
Wystawa Jana Bułhaka w Krakowie.

Dzięki staraniom dobrze zapisanego Fotoklubu przy polskiej YMCA, Kraków ma możność bliżej zaznajomienia się z twórczością Jana Bułhaka, którego prace były nam znane z licznych reprodukcyj. Jeżeli zestawienie materjału na powyższą wystawę przyjąć musimy z pewnem zastrzeżeniem, to winę musimy przypisać tej okoliczności, że Kraków nie zyskał jeszcze należnego miejsca działalności na polu fotografji skutkiem słabego zainteresowania się, czy to urządzeniem wystaw, czy też zrzeszeniem fotografów. Owocna działalność krakowskiego Fotoklubu jest jeszcze zbyt młodą, ażeby mogła wydać już dojrzały plon, mamy jednak nadzieję, że niedługo Kraków odnowi znowu swoje tradycje i stanie w rzędzie miast przodujących w fotografji. Tem staramy się tłumaczyć, że Bułhak przysłał szereg eksponatów, co do których można mieć wiele zastrzeżeń, jeżeli chodzi o pracę mistrza. Nie tłumaczy to wcale p. Bułhaka, że w tym czasie jest jego wystawa w Poznaniu, nigdy bowiem nie należy sobie zbytnio bagatelizować znawstwa dalekich od Wilna ośrodków. Wystawa cieszyła się wielkiem zainteresowaniem publiczności, która w większości wypadków ze znawstwem rzeczy poddawała eksponaty ocenie. Jeżeli nie wszyscy rozumieją mistrza, to niema nic w tem dziwnego, jest on kapitalny w swoich motywach pejzażowych, pełnych czarów, jego przepiękne leśne bory Polesia budzą zawsze duży sentyment u Krakowian, ale... to samo chcieliby oni zobaczyć w szacie nowej, w formie więcej przekonywującej, a mniej romantycznej. Widzimy jednak że forma nowa nie odpowiada p. Bułhakowi, choćby, gdy weźmiemy pod uwagę np. „Kościół w wodzie", który jest bardzo a bardzo daleki od doskonałości. Pomijając tę okoliczność, trudno nie przyznać mistrzowi dużych zasług na polu polskiej twórczości fotograficznej, tak w kraju, jak i zagranicą. Jeżeli przyszło to łatwiej mistrzowi, jest to zasługą jego osobistą, mistrz bowiem bardzo ujmujący w obejściu, posiada łatwość wysłowienia się, a przytem romantyk to nielada. Będzie on jeszcze długo ze swojemi „słodkiemi" motywami Polesia wzruszał i wprowadzał w zadumę, chociaż życie każe młodemu pokoleniu iść naprzód...

J. Szw.



Wilno. U Bernardynów III. *Fot. J. Bułhak.*



Z cyklu „Czarna Hańcza". *Fot. J. Bułhak*

Z ruchu wystawowego w Krakowie.

Ruchliwy Fotoklub przy krakowskiej YMCA, który niedawno zgromadził na urządzonej wystawie ogólno-polskiej około 500 dzieł polskich i zagranicznych wystawców, przystąpił do wstępnych prac nad urządzeniem VII Międzynarodowego Salonu Fotografiki w Krakowie. Na wystawę złożą się najlepsze prace, tak krajowych, jak i zagranicznych mistrzów fotografij. Będzie to nielada okazja dla zachodniej Małopolski i Śląska zaznajomienia się z twórczością fotograficzną. Niezależnie od powyższej wystawy Fotoklub urządza 1 marca b. r. wystawę fotografików szwedzkich.

Kącik krytyczny.

Z. PACZEŚNIOWSKI, KATOWICE. — Fragment parku bardzo monotonny, brak słońca, jakoteż motyw nieszczęśliwie obrany, czynią zdjęcie przeciętnem. Wejście do kaplicy, oraz stary kościółek bardzo ciekawe, zwłaszcza wejście do kaplicy posiada bardzo dobre oświetlenie, oraz doskonałe wypracowane cienie, należy tylko nieco obraz sfragmentować od dołu circa 2 cm.

Przysyłajcie zdjęcia do Kącika Fotoamatora!

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KĄCIK FOTOAMATORA

KUPON Nr. 8 *upoważniający do losowania nagrody*

CAŁA POLSKA FRONTEM KU MORZU.



Dnia 10-go lutego obchodziła cała Polska trzynastolecie objęcia morza w posiadanie, ślubując przy tem odeprzeć zakusy wrogów na nasze granice a przedewszystkiem na to okno na świat, jakiem jest dla nas Bałtyk. Na zdjęciu latarnia morska w Rozewiu, jedna z największych w Europie, rzucająca snop światła na kontrtorpedowiec „Wicher". — U góry polska bandera morska.

Fotomontaż J. Szwedo, Kraków.